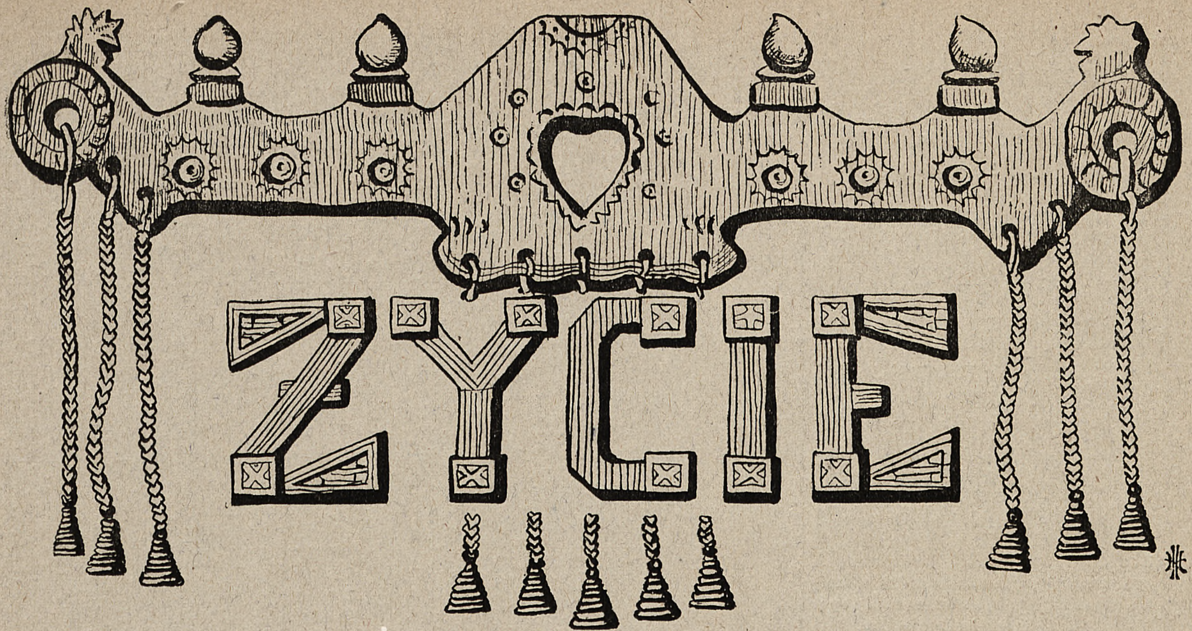


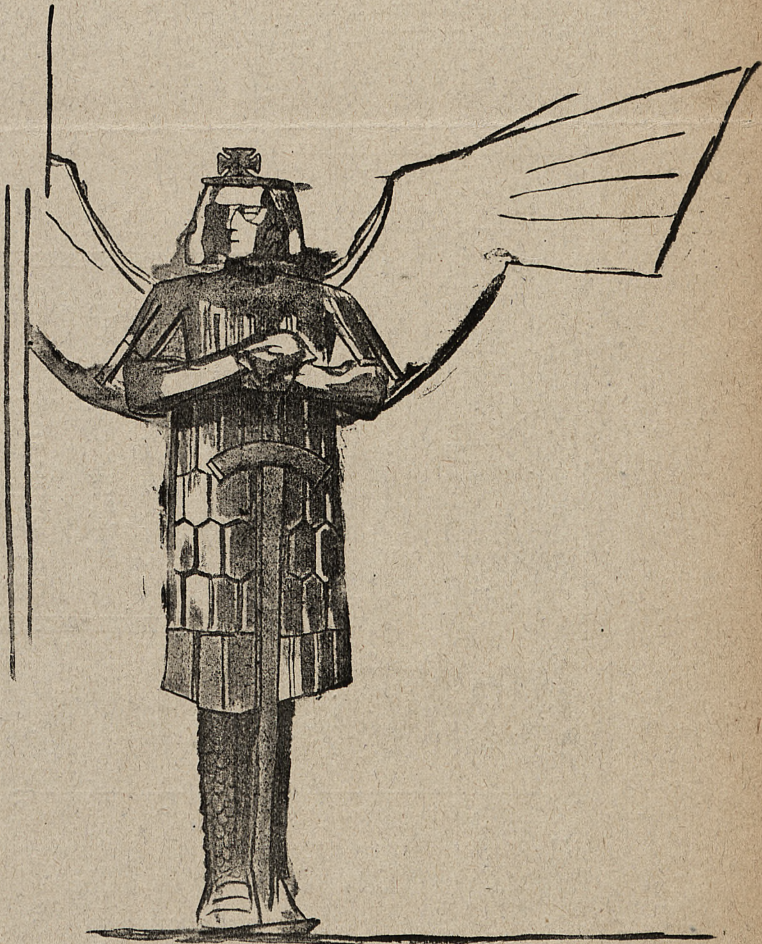
ROCZNIK II. ZESZYT IV.

DNIA 21. STYCZNIA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ" („KURJERA LWOWSKIEGO") LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA". :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE) ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

GUSTAW DANIŁOWSKI.

W ROCZNICĘ STYCZNIOWĄ.



dy rozpatrujemy pod kątem widzenia strat poniesionych przez naród rewolucyę listopadową i ostatnie powstanie, przekonujemy się, że w 31-szym roku przegrywaliśmy dukaty, a w 63-im miedź.

W rewolucyi bowiem zginęło wojsko polskie, zginął sejm, autonomia kraju, w klęsce powstania — szczupłe szczątki swobód, nikły samorząd, rozmaite drobne ustępstwa uzyskane notabene skutkiem wrzenia ludności, które w myśl stałej zasady rządu „objedinienja“ kresów, może nie tak gwałtownie jak po zdławieniu powstania, ale niechybnie były by nam z czasem wydarte drogą ukazów, słynnych wyjaśnień senatu, jawnych i tajnych cyrkularzy rozmaitych ministrów, czego wymownym dowodem jest nie porywająca nigdy za broń Finlandya.

A jednak pomimo tak nierównomiernej straty po upadku rewolucyi, nie widzimy tej strasznej depresyi moralnej, jaka ogarnęła społeczeństwo po wygaśnięciu powstania. Niepowodzenie rewolucyi zostało zrozumiane przez współczesnych tylko jako wielka przegrana bitwa, która bynajmniej nie rozstrzyga o ostatecznym wyniku wiekowej kampanii narodu walczącego o niepodległość, upadek zaś powstania przyjęto jako pogrom ostateczny, sprawę nieodwołalnie przegraną, krzyż wbity głęboko w grób Polski, nie mającej już się nigdy podźwignąć do niezależnego bytu. Istotnie była to przegrana, ale tylko szlachty, jako stanu wyrażającego podówczas aspiracye narodu, jedynego spadkobiercy rewolucyjnych tradycyi, ale że szlachta była wówczas wszystkiem i stanowiła o wszystkiem, bankructwo jej obwołano jako upadłość całego narodu.

Na opuszczonem pobojowisku nie dostrzegano nikogo, mieszczaństwo było słabe, a świeżo uwłaszczony lud dopiero się dźwigał z wiekowej ciemnoty i niewoli — mienił się katolikiem, nie

znając jeszcze właściwego imienia swej ojczyzny. Okrutny też wyrok, jak nazywał tę abdykacyę Świętochowski — dla narodu z wiekową kulturą i historyą pełną nieraz chwały — został wraz z płynącemi zeń konsekwencyami — przyjęty bez protestu przez całe społeczeństwo i rozpowszechnił się tak szybko, wrastał tak silnie w mózgi i serca, iż stał się wkrótce dogmatem aktu wiary politycznej ówczesnego pokolenia i w większości wypadków tegoczesnego również.

Względem usiłowań wywalczenia z bronią w ręku niepodległości nastąpiła zmiana frontu na całej linii, to też wódz pozytywizmu, formułujący swe wskazania polityczne skreślone w tym duchu, słusznie zaznaczał: „w nieobfitym splocie wskazań politycznych dla naszego społeczeństwa dostrzeżemy jedną nić wspólną: zasadę odradzania się przez rozwój cywilizacyjny przy stanowczym rozbracie z tradycyą powstań zbrojnych — a jak dalece ta idea jest szeroko odczutym wynikiem naszych doświadczeń, przekonywa jej współczesne zjawienie się na sztandarach obozów wprost sobie przeciwnych: stronnictwo ultramontańskie, arystokratyczne, przesiąkłe wyrafinowanym legitymizmem i t. zw. stańczycy galicyjscy, połączyli się w tem godle z żywiołem wolnomyślnym i demokratycznym naszego społeczeństwa. Zachodzi między temi odłamami szereg głębokich różnic w pojmowaniu owej reguły politycznej, niemniej jest ona formalnie w obu jednakową."

Różnice te jednak znaczne w dziedzinie teoryi oderwanego myślenia, w praktycznem działaniu zacierały się niemal kompletnie. Wypływająca z tych poglądów zgoda z losem, z panowaniem rządu zaborczego i ugoda dążąca do ułożenia jakiegoś „modus vivendi" z państwowością rosyjską nasuwały się jako naturalny wniosek. Jeżeli jednak politycy tego kierunku t. z. ugodowcy, wyciągający ostateczne konsekwencye z przyjętych przez społeczeństwo przesłanek, nie cieszyli się wziętością u ogółu, to wynikało to z braku powodzenia ich zabiegów. Rząd bowiem nie zdradzał najmniejszej chęci do układów, stojąc nieubłaganie na stanowisku: biada zwyciężonym. Jak jednak społeczeństwo było pod tym względem chwiejne i do jak najdalej idących ustępstw skłonne, świadczy o tem ogólne uniesienie, z jakiem z powodu drobnych, a rozdmuchanych do zapowiedzi nowego kursu względem Polaków, wypadków — witano w 1895 r. cesarza w Warszawie*).

Zapowiedzi zawiodły. Rozwiały się illuzye, ale nastrój ugodowy przenikał w dalszym ciągu społeczeństwo od prawego do lewego skrzydła. Na tem tle wyrodził się szczególnego gatunku odłam socyalistyczny w postaci socyal-demokracyi Królestwa Polskiego i Litwy, który wierzy w radykalny przewrót całego ustroju, w najtrudniejsze do urzeczywistnienia rzeczy, a tylko niepodległość Polski uważa nietylko za niemożliwą, ale wprost szkodliwą dla interesów ludu i ten punkt programu odróżniający go od socyalistów całego świata, uważa za kamień węgielny „prawdziwego" socyalizmu. Nastrój ten ujawnił się również podczas ostatniej zawieruchy.

Wchodziliśmy w ugodę wszyscy.

Narodowi-demokraci z prawicą, postępowcy z kadetami, lewica z lewicą, każdy odłam uważał się, jeżeli nie organicznie wcielonym, to w najlepszym razie podporządkowanym ściśle odpowiednim stronnictwom w Rosyi; nikt nie śmiał nic przedsięwziąć na własny rachunek, oprzeć się na własnych siłach.

I dopiero dzisiaj po szeregu krwawych doświadczeń, zyskuje kredyt pogląd, że naród podbity na każdym kroku jest upośledzony i wszędzie, czy to w caracie, czy w konstytucyjnych Prusach — skazany zawsze na rolę kopciuszka, który w świetnej karecie nie wjedzie na Wawelski Dwór, dopóki cugli rydwanu dziejów swoich nie weźmie we własne ręce.

Pogląd ten zaczyna zyskiwać coraz szerszą sferę zwolenników; u jednych jest to jeszcze tylko nastrój, u innych idea. Ale tego rodzaju nastroje przeobrażają się z czasem w silne prądy, idee zdążają do wcielenia się w czyny.

Ze względu na to, obchody rocznicowe naszych walk winny stracić charakter jedynie pokłonu czci u trumny zgorzałych zdarzeń. Krytyka wieków minionych nie w celu spóźnionych re ryminacyi, ale w celu poznania błędów, by ich uniknąć na przyszłość — staje się obowiązkiem.

Niech umarli grzebią swoje umarłe. Żywi przez zwycięstwo oddadzą najdostojniejszy hołd poległym w boju za tę samą sprawę towarzyszom broni.



---

*) Zamieszczamy poniżej nigdzie nie drukowany wiersz, napisany z powodu owych poniżających dni.

GUSTAW DANIŁOWSKI.

BALLADA.

Przy cmentarzu nad Wisłą, jak warta,
Stróżująca zapadłym mogiłom,
Piorunami topola rozdarta
Przeciwstawia niszczącym burz siłom
Moc trwania...

A gdy ciemna godzina uderzy,
Za cmentarny przegina się parów
Nad grobami uśpionych rycerzy
I zadaje szelestem konarów
Pytania.

Wówczas każdy grób wzdryga się darnią
I z łoskotem w głąb ziemi zawala,
Bo je pyta swą całą męczarnią
I tym gromem, co wciąż się zapala
W pniu czarnym.

Lecz odpowiedź nie zatli się w próchnie
Mogił wzrosłych w dżdżu krwawym,w łez rosie,
Póty, póki płomieniem nie buchnie
Święty ogień, co zagasł na stosie
Ofiarnym...

Lecz dziś płomień ten dusz już nie wichrzy,
Termopilski się przeżył bohater.
Wulkaniczny zasklepił się krater,
Jęk pobitych wciąż cichszy i cichszy —
Bezsilny.

Aż raz w wieczór jesienny i rzewny,
Kiedy zmierzchy liljowe się słały
W mgłach, jak gdyby w welonach królewny
Mar girlandy na obszar zleciały
Mogilny.

Pod topolą się starą rozsiadła
Na cmentarzu upiorów gromada,
A zmęczone to były widziadła
I każdego twarz była tak blada
Jak chusta.

Snać z dalekiej przybyły krainy,
Z państwa zimy, bo snieg i szron srebra
Włos przypruszył, a mrozu znak siny
Kładł swój stygmat na piersi ich, żebra
I usta.

Jedne oczy błyszczały jak świece
U tych duchów, a serca, jak struna
Niecierpliwa, tętniały — źrenice
Obracały wzdłuż Wisły, gdzie łuna
Drży krwawa.

— Co tam dzisiaj? — Szmer krążył śród
[duchów —
Skąd ta radość? To chyba Moskala
Wypędzono i wolna z łańcuchów
W dzień tryumfu ogniska rozpala
Warszawa?!!

Czemu tylko nie wraca wysłaniec?
Ktoś wyszeptał, ściskając swe pięście
Tak jak wówczas, gdy zbroczył krwią szaniec,
A duch drugi: — przeczuwam nieszczęście —
Rzekł smutno.

Na ten wyraz wzdrygnęły się cienie.
Nagle wrota rozwalił ktoś całe
I wpadł poseł, miał w oczach płomienie,
Brak tchu w piersiach, a lica tak białe,
Jak płótno.

— Bracia! — wołał, podnosząc twarz wściekłą,
Pełną gniewu i dzikiej boleści —
— Otóż jestem z nowiną jak piekło!
Nie! — W niej więcej niż w piekle się mieści
Goryczy!

— Tam, w Warszawie igrzysko się stwarza
Na cześć cara — więc płoną ogniska,
Światła w oknach, by witać cesarza
Tłum rodaków w ulicach się ściska —
Żyj! — krzyczy!

Na tym bruku, co niegdyś jak mary
Trupem naszym był cały pokryty,
Powiewają dziś pyszne sztandary
W zieleń dzięków przybrane i w kity
Traw z pola.

Deputacye mu niosą dar złota,
Życia jego już sami dziś strzegą
I dziękują, że przybył despota,
I mu mówią, że błoga jest jego
Niewola.

Tam nic po nas! Wracajmy do lodu
W Sybir, w stare zaklęsłe mogiły,
Tam złorzeczą tym synom narodu,
Którzy w boju targają swe siły
Z przemocą.

Moglibyśmy coś popsuć w tem stadle
Polski z carem — pomięszać zabawy,
Gdyby raptem tak w sennem widziadle
Nasz mu upiór ukazał się krwawy
Dziś nocą.

Mógłby cesarz być nierad ze święta,
Panom groźnie na zamku powiedzieć,
Że on bunty, powstania pamięta...
Ducha widział, którego wyśledzić
Powinni.

I wypadłoby panom wykrztusić,
Że za winy te znieśli dość cierni
A tę zmorę gotowi są zdusić,
Bo dziś mu już poddani, tak wierni
Jak inni.

Dowód: bramy obite w szkarłaty,
Z dzieci polskich spleciony sznur kręty
W białych sukniach, by sypał mu kwiaty
I przyjmował go godniej, niż święty
Sakrament.

Z rosyjskimi napisy portrety
Które zdobią krużganki i nawy...
Dziś u stopni cesarskiej karety
Drą i depczą nasz krwawy
Testament! —

— Drą i depczą nasz krwawy testament...
Tłum upiorów powtórzył znękany,
I płacz buchnął i jęki i lament,
I otwarły się wszystkie im rany
I blizny.

I z rodzinnej swej ziemi jak stado
Okrwawionych łabędzi, tłum cały
Wraz się porwał i wielką gromadą
Duchy, łkając na północ leciały
Z ojczyzny.

A słaniały się wszystkie jak we śnie,
Włócząc skrzydła skrwawione po ziemi,
I wzdychały, szlochając boleśnie,
Łzawa smuga ciągnęła za niemi
W niebiosach.

I wysokim, zamglonym tym szlakiem,
Obłąkane cierpieniem, jak w szale
Znikającym się rwały orszakiem,
Rozsypały się krwi ich korale
Po rosach.

Pusty cmentarz pozostał i głuchy.
Jeden wicher w nim ciszę zamąca,
Co topoli rozdartej pień suchy
Swym szalonym podmuchem potrąca
I zgina.

I z wściekłością gałęzie obrywa
I unosi daleko — na pole,
A topola tak jęczy, jak żywa
I okrutną wiekową swą dolę
Przeklina.

Pod nią Wisła spieniona i mętna
W mgły oparach się wije, jak w dymie,
Słychać westchnień potężnych jej tętna
I kłębiące się w piersiach olbrzymie
Jej wiry.

A nad wszystkiem zawisła żałośnie
Noc i niby samotna dziewczyna
Co tka szychem całuny na krośnie
W czarne niebo złotogłów gwiazd wpina
Jak w kiry...



JENERAŁOWICZ.

PARANOIA DIALECTICA.

Nie pomylę się chyba, jeżeli powiem, że pokolenie nasze jest chore na dyalektykę. Nie bierze za podstawę rzeczywistości do wysnuwania wniosków, ani też wysnutych w ten sposób wniosków nie zestawia dla sprawdzenia z rzeczywistością, lecz bierze do ręki powiedzenie i obracając niem na wszystkie strony, bawi się wysnuwaniem wszystkich możliwych z niego konsekwencyi. Gdybym był wiedział, że mój krótki artykulik „Z Warszawy“ zostanie przez p. Adama Płomieńczyka zakwalifikowany jako kult szerzenia „Fetyszów ideowych“, byłbym go wycofał, gdyż najgorsza rzecz bywać źle zrozumianym, albo, lepiej powiedziawszy, tyką, aby się na niej bluszcz wił do góry. Stwierdzając tylko, że p. P. polemizuje z widmami własnych wyczytań, chcę jednak wyraźniej powiedzieć, o co mi chodzi, przeciwstawiając żywiołowość patryotyzmu wykalkulowanej racyi stanu. Nie pisałem studyum, tylko korespondencyę; dziwię się, jak można do korespondencyi przykładać miarę wielkich wyznań wiary politycznej, a aforyzmy tak traktować, jak tomy argumentów i dowodów rzeczowych. Najpierw jednak zaznaczę, iż bynajmniej nie widzę wraz z p. P., aby u nas ideologia niepodległościowa była tak bardzo „popularną“ i aby publicyści na tej sile przekonaniowej „mas“ byli wsparci; nie widzę, aby w postępowej publicystyce wogóle patryotyzm jakąś wybitniejszą rolę odgrywał, a pisałem o Warszawie i piszę o Warszawie, zaś p. P. odpowiadał na artykuł „Z Warszawy“. Przeciwnie, widzę ślamazarność, brak godności, bardzo słabe odczuwanie obelg narodowi miotanych i w wielu wypadkach zupełne lekceważenie spraw ojczyzny jako takiej. Nie mogę też nigdzie ujrzeć, by „niepodległość“ była programem politycznym, nawet widzę, że bywa bardzo nieprzemyślaną „ideologią“, zwróconą dość naiwnie do walki na jeden front a nie na wszystkie fronty, których przecież jest tyle... Widzę, że u wielu dążenie do niepodległości zakrywa zupełnie pytanie, czy ten bój przyszłościowy nie zasłania nam tych boisk, gdzie plemię nasze rozpaczliwie walczy o byt i w wielu wypadkach przegrywa... Czytam: „Z tego, że jesteśmy Polakami, zgoła nic jeszcze nie wynika“. A mnie się zdaje, że z tego jedynie wynika wszystko. A któżby dziś chciał twierdzić, że żywiołowe uczucia i myśli nie muszą być brane

na warstaty kultury! Chodziło mi o rzecz całkiem inną. Pewien uczony angielski zrobił spostrzeżenie, że właściwie ślepca można doskonale nauczyć wszystkiego o sinusach i cosinusach, ale gdy będzie musiał przejść na drugą stronę ulicy, rad nierad weźmie dziecko za rękę, które go bezpiecznie przeprowadzi. Otóż zauważyłem, że istnieje u nas taki patryotyzm sinusowo-cosinusowy, czysto wyrozumowany i dlatego właśnie bardzo zmienny: ot, synowie sinusowo-cosinusowych patryotów warszawskich w drodze kombinacyi logicznych zmienili się nagle w syonistów i nacyonalistów żydowskich. Z pustego nie naleje. W kim polskość nie jest żywiołem, ten swemi sinusami i cosinusami daleko nie zajedzie. Jesteśmy ludźmi a nie marami. Gdyby polskość miała być tylko najlepszą koncepcyą ogólnoludzką, zjechali by tu do nas Amerykanie, Anglicy, Francuzi. Otóż z tego, że jesteśmy Polakami, wynika wszystko, a przedewszystkiem to, że nimi dalej być musimy, zaś będąc, najlepiej trzeba starać się uzbrajać do walki o byt. Bo ci, co Polakami nie byli, stawali się nimi wprawdzie, ale obecnie całemi masami przestają być nimi i zdobywają się na inne koncepcye. Licho kształciliśmy nasz rozum, ale stokroć gorzej nasze uczucie. Jestem zdania, że żoną i ojczyzną z nikim dzielić się nie można i że to nie jest przedmiotem d y s k u s y i. Tymczasem postrzegam, że dzielenie się ojczyzną jest u nas przedmiotem spokojnej, rzeczowej, ślamazarnej nawet dyskusyi... Może p. Płomieńczyk tego nie widywał i nie czytywał. W takim razie mogę nazwać go tylko szczęśliwcem i zazdroszczę mu. To tylko rzeczywiście u nas mogła istnieć redakcya, która ojczyznę naszą nazywała „trupem, który kopnąć należy“. Odpowiedziano na to... rozumowaniem, gdy gdzieindziej publiczność rozniosłaby taką redakcyę. Stary Jeż w jednej ze swych największych powieści zastanawiał się właśnie nad ludźmi, umiejącymi momentalnie r e a g o w a ć na zjawiska życiowe, jak należy. Nie przewidywał może, iż wyrośnie pokolenie, które samą ojczyznę podda dyskusyi... Mnie o to chodziło, a nie o dyalektykę. Ja to postrzegam. Można twierdzić, że się tego nie postrzega, więc wziąć się do konfrontacyi rzeczywistości. Ale nic więcej. Dlatego w „polemikę“ z p. P. wdać się nie mogę, gdyż nie prostuje on moich obserwacyi, tylko chce mi udzielać jakiejś lekcyi. A że ta lekcya była chybiona, dowodzą czysto dyalektyczne wnioski z moich spostrzeżeń. Toteż mam wątpliwość, czy obecnie warto być w Polsce publicystą a zwłaszcza temu, co chciałby się otrząsnąć raz z epidemii, którą pozwoliłem sobie nazwać „paranoia dialectica“.



WŁADYSŁAW ORWID.

JÓZEF MIRECKI.

FRAGMENTY ŻYCIORYSU.

III.



W lecie 1907 została przerwana bojowa działalność Mireckiego. W chwili, kiedy planował nowe akcye, bez broni został ujęty na ulicach Warszawy wskazany przez byłego studenta uniwersytetu, prowokatora Charewicza (pseudonim Sas) i pod nazwiskiem Montwiłła Sawickiego osadzony w X pawilonie.

Rozpoczął się długi, prawie półtora roku ciągnący się proces, jedyny w swoim rodzaju.

W grubych foljałach aktów zeznań szpiegów, informacyi ochrany, opinii żandarmów, wniosków prokuratorów wojennych, w całej tej niecnej robocie płatnej zgrai najazdu, znajdowało się jedno jedyne słowo oskarżonego:

— Tak! — na pytanie czy się nazywa Sawicki.

Pozatem Mirecki milczał jak mur, lub znudzony badaniem odpowiadał:

— „Nie żełaju otwieczat'!“

W tem jego zawziętem milczeniu wyrażała się głęboka pogarda do całej procedury „sądu krzywoprzysiężnego“ i wstręt do używania wykrętów wobec tych ludzi.

Wytaczano mu sprawę po sprawie: Za opór zbrojny na Mokotowskiej został skazany na śmierć, z zamianą tej kary na 15 lat katorgi.

Za przynależenie do organizacyi bojowej rewolucyjnej frakcyi P. P. S. otrzymał drugie tyle.

Po uprawomocnieniu tych wyroków okuto go w kajdany.

Ale łańcuchy nie wystarczały. Najezdniczy rząd nie mógł zaznać spokoju, póki ten mocarz istniał — postanowił więc go zgładzić. Poczęto mu wytaczać gardłowe sprawy jedną po drugiej.

Wszystko świadczyło, że słowa prokuratora: „sędziowie, wyrok gotowy, należy go tylko podpisać“, nie były retorycznym zwrotem, lecz odpowiadały istocie rzeczy.

Mirecki wiedział, że cały sąd jest komedyą zainscenizowaną dla ulegalizowania mordu. Nadciągała stopniowym, ale nieubłaganym krokiem męczeńska śmierć, po jego bujną młodą głowę.

Widział jej każde posunięcie, a jednak tryb jego więziennego życia nie uległ najmniejszej zmianie. Dbał jak dawniej o porządek w celi, o hygienę, uczył się jak zwykle, kształcił się do końca.

Spożytkował czas pracowicie. Z upodobaniem rozczytywał się w najświetniejszych utworach literatury pięknej ostatnich lat, zagłębiał się ponownie w poezyę swych ulubionych romantyków, nabył ostatnie wydanie dzieł twórcy „Króla Ducha“.

Była to istotnie lektura godna czytelnika, co zdobył prawa następujące po wierszach poety:

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast [domu
Gniazdo na skałach orła, niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...

Słowa: — tak żyłem... powtórzyć o sobie.

Z tego na książki dużego wydatku Mirecki czuł się w obowiązku usprawiedliwić przed jednym z towarzyszy:

— Kupiłem dziś — napisał — komplet Słowackiego, być może, będziesz to poczytywał za luksus, ja jestem przeciwnego zdania! Z towarzyszami komunikował się wogóle mało a odpowiadało to jego samotniczemu usposobieniu, zresztą nie uważał za potrzebne zaprzątać innym głowy swoją osobą i bał się kompromitować aresztowanych ujawnieniem zażyłszych z nimi stosunków. Czasem tylko prowadzony na nowe śledztwo pukał do cel znajomych kilkakrotnie, a stuk ten i ponury brzęk kajdan po posadzce kurytarzy odbijał się bolesnem echem w sercach towarzyszy. Pierwsza stryczkowa sprawa dla braku wszelkich poszlak została umorzona. Następna, o zamach pod Łapami na najdzikszy pułk Wołyńców również dla braku świadków upadła.

Postarano się tedy o świadka, dla pewności w skład sądu włączono oficerów pułku Wołyńskiego i zaczęto ją raz jeszcze. Znowu śledztwo, zeznania szpiegów, świadków, spocone usiłowania sędziów, by wydobyć choć coś, choć słówko z tej groźnej okutej postaci, dowiedzieć się kim jest, stwierdzić przynajmniej rzeczywiste nazwisko. Ale Montwił uparcie milczał.

Całe jego niezłomne zachowanie się podczas sądu, pełen spokoju i godności sposób bycia w więzieniu, wywierało niepokonany wpływ na wszystkich. Prowokatorzy zaczęli się stawać skąpsi w swych oskarżeniach, zdrajca odwoływał zeznania, w osiwiałych, zżytych ze zbrodnią i wyrafinowanem okrucieństwem żandarmach poczęły się budzić szczątki zabitego sumienia.

Dziś jeszcze przyciszonym szeptem, w którym się plącze jakby tajemna trwoga, żal pomięszany z podziwem przypominają oni więźniom: — Wot tut w 29 kamierie sidiał ichnij naczalnik, czełowiek że był — powiesili odnako“... — dodają ze zgrozą.

Nowi, na pytanie kiedy objęli obowiązek w pawilonie, odpowiadają:

„W tym czasie właśnie, kiedy zasądzono Sawickiego“, w przekonaniu, że jest to data osobliwa, którą każdy znać musi.

Po wznowieniu sprawy o Łapy, Mirecki napisał towarzyszy:

Wiecie, że przechwałek nie cierpię, ale teraz, kiedy jestem już jakby ostatniemi olejami namaszczony, czuję się w obowiązku wam wyznać, iż rad jestem z takiego obrotu sprawy, bo po pierwsze, śmierć moja położy wreszcie kres oszczerczym plotkom, że naczelnicy umieją tylko wysyłać innych na śmierć, a sami w ogień nie idą; po drugie — doda bodźca pozostałym bić się, aż do zwycięstwa.

Jest u nas we zwyczaju umierać z okrzykiem; krzyków wogóle nie lubię, jeśli jednak wydać go wypadnie, to będzie nim jedynie:

— „Niech żyje Polska niepodległa“!

Towarzysze, którzy nad każdem z rzadkich słów Mireckiego zastanawili się głęboko, zwrócili uwagę na brak dodatku: „ludowa“, lecz szybko doszli do wniosku, że w ustach Bronisława ten akcent jest zupełnie zbyteczny, bo to rozumie się samo przez się, nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, gdy o niego chodzi.

Przypomnieli sobie, że w życiu Mireckiego istniał pewien okres, kiedy ulegając lewicowemu prądowi, nie odrzucał wprawdzie niepodległości, ale niezbędność jej dla dobra ludu wydawała mu się sprawą, nad którą trzeba się jeszcze zastanowić; szybko jednak wyzbył się esdekowskich naleciałości i na przedrozłamowej konferencyi wyraził swe usposobienie w dobitnych słowach:

— Oderwijmy się od nich, choćbyśmy mieli pozostać nieznaczną grupą: lud pójdzie z czasem za nami!

To też w przedśmiertnym swym okrzyku uważał za stosowne podkreślić raz jeszcze to tylko, co ulegało w nim niegdyś dyskusyi, zamknąć w nim ostateczny wniosek wewnętrznych dociekań, całkowitą treść swego żywota.

W czasie ostatniej sądowej rozprawy, Mirecki przesłał swój chrzestny złoty krzyżyk jednemu ze skazanych na ciężkie roboty ze skwapliwą adnotacyą, by nie uważał tego za jakąś tam pamiątkę, ale za przedmiot wartościowy, za który można dostać parę rubli, tak przydatnych w katordze.

Przed tragicznem rozwiązaniem napisał do jednego z doświadczonych towarzyszy bilecik tej treści:

„Zbiera mnie chętka nie dać się im tknąć, niech się obejdą smakiem oczekiwanej satysfakcyi. Co sądzisz o tem?

Odpowiedź brzmiała:

„Daj temu pokój. Społeczeństwo nasze jest tak straszliwie oziębłe, że mu potrzeba krwi i ofiar. Przytem gdybyś to uczynił, mogliby na przyszłość stawiać w celi szyldwacha i zatruwać ostatnie chwile skazańcowi“.

„Masz słuszność“ — odpisał Mirecki.

Siódmego października 1908 roku, we wtorek, pomimo świetnej, acz beznadziejnej, obrony adwokata, wykazującej brak istotnych dowodów, Montwiłł został skazany na śmierć.

Po powrocie z sądu, zawezwano go pod jakimś pretekstem do kancelaryi.

Tam zebrało się liczne grono tuzów wojskowych i wyższych urzędników rozmaitych dy-

kasteryi, by zobaczyć, jak wygląda ten szczególny człowiek.

Ożywiony gwar panował w tem błyszczącem od szlifów, akselbantów i orderów dobranem zbiegowisku.

Ale gdy rozległ się szczęk kajdan prowadzonego więźnia, przycichła wrzawa.

Gdy ukazał się we drzwiach posępny rycerz, zapanowało martwe milczenie.

Mirecki, zoryentowawszy się o co chodzi, ze swym zlekka sarkastycznym uśmiechem, który miał dla nich zawsze, rzekł żartobliwie:

— „Cóż tak ponuro... dobiliś swojewo, dołżny byt' rady..."

Pomięszani oficerowie zaczęli coś bąkać o „prawie", o współczuciu, niektórzy nawet posunęli się z podaniem ręki.

Ale jedno spojrzenie Mireckiego wskazało im odpowiedni dystans.

Przed śmiercią otrzymał pozwolenie widzenia się z żoną. Odbywało się ono przez podwójną kratę. Gdy żona chciała poprosić o usunięcie tej przeszkody, Mirecki rzekł:

— Ich o nic prosić nie trzeba!

Potem zaczął się dopytywać o córeczkę, która się narodziła w więzieniu, o jej wygląd, bo dziecka nie widział i na odchodnem upominał gorąco matkę, by wychowała dziecko na dobrą Polkę. Były to ostatnie jego słowa, słyszane przez blizkich, odosobniono go bowiem zupełnie.

Jednemu jednak z towarzyszy udało się zajrzeć przed nocą raz jeszcze do jego celi.

Twarz skazanego nie zdradzała żadnych szczególnych wzruszeń, na poważnem, spokojnem obliczu jaśniał zwykły lekki rumieniec, był zajęty porządkowaniem książek, co miał zwyczaj czynić wieczorem, słał starannie łóżko, jakby miał długo spać tu jeszcze.

Według przyjętego regulaminu mogło to potrwać kilka dni, ale w tym wypadku władze wykazały wyjątkowy pośpiech. Pilno im było niezmiernie pochować jak najprędzej spełnioną zbrodnię. Jakiś zabobonny niemal strach, kazał im nietylko się spieszyć, ale porobić niezwykłe zarządzenia.

W nocy z czwartku na piątek cała załoga forteczna stała pod bronią, prócz tego skonsygnowano jeden z pu ków warszawskich.

Zbirów ogarnęła niezrozumiała trwoga, drżeli, że w ostatnim momencie zjawią się jakieś nieznane siły, hufce niebieskie czy ziemskie, by go wyzwolić.

Plac egzekucyi otoczono podwójnym kordonem wojska. Do cytadeli zjechało się mnóstwo dygnitarzy, ale w ostatniej chwili część się cofnęła, nie mając śmiałości asystować przy straceniu, miejsce widzów zajęła najgorsza hałastra.

Dwadzieścia pięć minut na pierwszą więźniowie siedzący od północy usłyszeli złowrogie stąpanie oddziału żołnierzy, dążących w kierunku wrót Iwanowskich.

Z zapartym oddechem przywarli piersiami do krat.

Błyszczała gwiazdami noc zimna, sina, niema, jakby struchlała. Mirecki, niby rozkuty Prometeusz, wszedł na plac.

Gdy się ukazała słuszna jego postać, zrobiło się cicho.

Gdy zwrócił złociste oczy i piękną głowę ku drapieżnej zgrai — w chciwem oczekiwaniu zastygło wszystko...

Zrozumieli, że zamierza coś powiedzieć, spodziewali się usłyszeć wreszcie jakieś wyznanie, wydrzeć choć jedną tajemnicę, zdobyć chociażby nazwisko... Otworzył usta i dźwięczny, metaliczny głos, co drgał tak ślicznie w boju pod Rogowem, panował niezłomnie na tylu polach bitew, rozległ się raz jeszcze donośnie:

— Niech żyje Polska Niepodległa!

Okrzyk płomienny, jak sztandar, potężny jak przysięga w obliczu śmierci — walecznego wodza ostatnia święta komenda...

O w pół do drugiej straż powracała. Głuche i ciężkie stąpania dźwigały wieść okrutną, defilada łyskających bagnetów — mściwe pchnięcia w serca towarzyszy, że go związano, żywego duszono, zabito, męczeńsko zabito...



WITOŁD BUNIKIEWICZ.

GUSTAW FISZER

(Wspomnienie pozgonne).

Kiedyś... dawno temu... wypędzony ze wszystkich szkół galicyjskich, wstępował „niebezpieczny rewolucyonista" Gustaw Fiszer na deski podrzędnego prowincyonalnego teatru.

Było to w roku 1866 — bezpośrednio po powstaniu, w czasach, gdy w Melpomeny służbę zaciągali się jeno życiowi zrozpaczeńcy, a one komedyanckie budy wlokły po rozmokłych polskich traktach królową sztukę, nadziei wiele, a nędzy najwięcej.

Dzieje znane ledwie z opowieści, opromienione jakimś sentymentem bohaterstwa dla aktora przeszłości.

Fiszer opowiadał chętnie o owych czasach z uśmiechem człowieka, któremu życie nie zabrało pogody z oblicza, ani nie zasępiło duszy.

A w tej wiernej pogodzie i pobłażaniu dla wszelkiej tragiczności tkwiła niewątpliwie artystyczna myśl fredrowskiego pokolenia.

Przejść przez piekło życia — a nie zasępić ani razu twarzy, ani nie zgiąć głowy przed własną Golgotą — było prawdziwą sztuką aktorską!

Bo aktorem był Fiszer, w stylu najszlachetniejszym, jak on bajeczny dzwon, co nigdy nie wydał

dwa razy tego samego dźwięku — a zawsze brzmiał inaczej, a ciągle pięknie.

Wychowany na najlepszych wzorach molierowskiej komedyi i niezrównany jej twórca, z konieczności scenicznej podporządkowywał się pod nakaz autorski — który wymagał dosadnej, realnej charakterystyki pewnego zbiorowiska, jakiegoś karykaturalnie nakreślonego typu, symbolu win czy śmieszności ludzkich.

Komedya typu była szczególną własnością talentu Fiszera.

Na nim też spoczęła tradycya teatru fredrowskiego we Lwowie.

Stworzyć typ, połączyć tysiąc rozbieżnych linii, setkę przelotnych spostrzeżeń w jedną sceniczną całość i dać złudę jednej, nierozerwalnej postaci, to zadziwiająca sztuka, która stawiała Fiszera w rzędzie pierwszych mistrzów aktorstwa.

A była to karykatura w stylu szlachetnego Kostrzewskiego lub Buscha, śmiech dla śmiechu, który ani nie drażni, ani nie boli, a jeno rozwesela niefrasobliwie.

Galerya ona napełniała się raz wraz nowemi nabytkami, a z ust do ust przechodziły monologi: jak „Pan Gadulski“ „Kałamarzewski“ „Rajszower afiszer“ i t.d. postacie wydarte z bruku galicyjskich miasteczek, schowane kędyś wśród gęstwy drobnomieszczańskiej.

Galicya miała swego Kostrzewskiego, a był nim Fiszer.

Teatr molierowski zrodzony na gruzach wielkiej tragedyi Corneilla i Racina przedał w spuściźnie aktorowi stylowe koturny, poza któremi kryło się dążenie do karykatury.

Przeto i Skąpiec i Świętoszek, Savantki i ów udający szlachcica mieszczuch, są niczem innem jak karykaturą opartą na znajomości życia i na skrzętnem a skwapliwem podpatrywaniu jego wartości. To też i aktor karykaturzysta miał przed sobą drogę obserwacyi i mozolnego podchwytywania śmiesznostek ludzkich, na równi z autorem budującym swą postać.

I tak zmienia się rola aktorska równorzędnie z postulatami jakie nakłada naprzemian sztuka grecka, Szekspira i Moliera.

A rzecz nie małej wagi, przejść przez dramat grecki i zrozumieć, że autyczność wymagała deklamatora, Szekspir pragnął widzieć w aktorze samodzielnego twórcę, Molière lub Fredro bystrego i czujnego obserwatora-naśladowcę.

Fiszer w repertuarze swoim miał dwie role, które należą do najśmielszych tryumfów sztuki aktorskiej.

Był to Szekspira: Kupiec wenecki, i Papkin ze Zemsty Fredry.

Chytry i trwożny starzec, zaciekły i chciwy, okrutny i czuły, lub on obwieś, samochwalca, pieczeniarz podszyty zajęczą skórą, a sprytna przy tem sztuka dają najlepszą miarę skali twórczej Fiszera. Nie bez słuszności mówiono o zmarłym, że dźwigał na swoich ramionach tradycyę fredrowską we Lwowie.

Żaden bowiem teatr w Polsce nie obarczony jest takim surowym obowiązkiem przechowywania czystości komedyi fredrowskiej — jak scena lwowska.

Z nią bowiem pozostawał znakomity nasz pisarz w najbliższym stosunku zażyłości.

Przez lat czterdzieści z górą Fiszerowi zdaną była opieka nad nieskazitelnem przedaniem w potomność tych samych postaci tak, jak je oglądał sam Fredro, w dniu pierwszego przedstawienia.

Stanowisko ważne i żywa szkoła dla przyszłego aktora, któremu przypadnie w udziele zagrać Jowialskiego, lub Radosta ze „Ślubów panieńskich“!

Zadanie to spełnił Fiszer całem żmudnem życiem, a nauczycielem był pokoleń, bo niósł z sobą czystą i jasną miłość dla wszystkich synów swej ziemi.



IZA MOSZCZEŃSKA.

NARODOWA OSOBLIWOŚĆ.

Konstytucyonalizm rosyjski jest „narodową osobliwością“; w tem pan Rodiczew ma najzupełniejszą słuszność, lecz żadną miarą nie można się zgodzić na to, aby jego osobliwą cechę stanowiła „demokratyczność“. Rzecz się ma w sposób przeciwny. Swoiste rysy jego na czem innem polegają, a bardzo niekompletne pojęcie o jego oryginalności posiada ten, kto go ocenia jedynie wedle tego, co się dzieje w trzeciej Dumie. Wprawdzie i owa Duma, tak, jak się w sprawozdaniach prasowych przedstawia, jest raczej drwiącem przedrzeźnianiem parlamentaryzmu niż izbą prawodawczą we właściwem znaczeniu, jednakże dla pełnego obrazu stosunków należałoby jeszcze sceny, rozgrywające się w Dumie, rzucić na tło życia całego kraju, — jego obyczajów, nastrojów, codziennego biegu spraw, ażeby się przekonać — czem jest owo ciało w państwowym organizmie; jakie w nim funkcye spełnia. „Osobliwością“ tej izby dyskusyjnej jest nietylko to, że w niej przewagę mają zasadniczy przeciwnicy parlamentaryzmu, — jak słusznie stwierdził Daniłowski, — lecz że ono jest manifestacyjnie lekceważone nietylko przez izbę wyższą, ministerya, rząd i biurokracyę od najwyższych do najniższych jej organów, lecz przez całą bez wyjątku ludność kraju. Szczerzy konstytucyonaliści rosyjscy bardzo dziecinnym podlegając złudzeniom, niesłusznie ignorują to zjawisko i tłumaczą je na swoją korzyść. Wyobrażają sobie oni, że Duma nie posiada zaufania kraju, gdyż oni — posiadający to zaufanie — są tam w mniejszości a stąd, że lekceważenie trzeciej Dumy nic a nic nie zmniejsza popularności samej idei konstytucyonalizmu w cesarstwie rosyjskiem. Tak bynajmniej nie jest. Podlegając na tej fikcyi wykazują oni, że nie dorośli jeszcze do roli wychowawców narodu, do jakiej czuli się powołani. Przystępując do pierwszych wyborów — choć pono rozumieli i uznawali nienormalną i niezdrową podstawę, na której

zbudowano ów niby parlament obowiązujący posłów do przysięgi na wierność, wybierany w chwili przepełnienia więzień całego kraju — a raczej zamienienia całej Rosyi na olbrzymie więzienie obwarowane łańcuchami i ryglami stanu wojennego, kołysali się błogą nadzieją, że taka czy inna izba prawodawcza może i musi stać się szkołą parlamentaryzmu, zawiązkiem, który troskliwie hodowany rozwinie się i rozkrzewi w bujne i silne drzewo wolności obywatelskiej. Najprzód niech parlament będzie, później stopniowo reformować go będziemy. Nie oni tymczasem reformowali go, lecz autokratyczny rząd, Duma zaś wyhodowała nie ducha parlamentaryzmu, lecz wielki, bezczelny fałsz polityczny, groteskową komedyę bez maski odgrywaną na pośmiewisko Europy i zdolną w narodzie rosyjskim na długie czasy ośmieszyć i poniżyć ideę, której konstytucyjni demokraci służyli.

Pierwsza Duma nie stała się szkołą konstytucyonalizmu, choć w niej większość mieli kadeci i nie stała się trybuną agitacyi rewolucyjnej druga Duma, gdy w niej przewagę liczebną mieli socyaldemokraci. Jedni i drudzy zatem przeliczyli się w swych nadziejach i wprost niepokojącem staje się, że dziś jeszcze jedni i drudzy, mimo namacalnych i jawnych pomyłek, w swych złudzeniach trwają. Ani na odezwę wyborską, ani na uwięzienie soc.-demokratów naród nie reagował w sposób, któryby pozwalał wierzyć, że jedna lub druga partya ma rząd dusz w swem ręku.

Natomiast w narodzie dzień po dniu, rok po roku wzrasta i umacnia się przekonanie, że konstytucya jest czemś takiem, co nic a nic nie ma wspólnego z biegiem spraw publicznych, że wszystko idzie po staremu i nic się nie zmieni, choćby się i co rok wybory powtarzały, a coraz nowe nazwiska z urn wychodziły. Wszystko jedno jakie prawa, jaką ilością głosów uchwalane bywają i zatwierdzane lub odrzucane przez jakiekolwiek instancye. Żadne z nich nie wchodzi w życie. Co wolno, czego nie wolno, o tem wie tylko komisarz cyrkułu, naczelnik powiatu, żandarm, inspektor szkolny itp. Istotna władza prawodawcza spoczywa w ręku władzy wykonawczej, w jej najniższych, bezpośrednio z ludnością stykających się organach. Stąd staje się rzeczą w praktyce obojętną, czy Duma uchwali bardzo liberalne, czy bardzo reakcyjne prawa. Nie było bowiem wypadku, aby ktośkolwiek powoływał się na jej postanowienia, lub do niej odwoływał. Ten zwykły we wszystkich europejskich krajach porządek rzeczy — tutaj budziłby tylko chóralne wybuchy śmiechu. Jeżeli postanowień Dumy nie skasuje ani Rada państwa, ani Rada ministrów, to może je skasować komisarz. Interpelacye są — jak wiemy — efektowną, a nieskuteczną zabawką. Nawet tam, gdzie bezprawie przybiera postać tragiczną, gdzie padają ofiary z życia ludzkiego — rezultat nie opłaca wysiłku. Cóż dopiero w sprawach choćby wielkiej wagi lecz mniej jaskrawych. Co więcej, niekiedy unika się interpelacyi w Dumie z obawy, by reakcyjna większość, uzbrojona konstytucyjną pieczęcią, nie podniosła pierwszego lepszego idyotycznego rozporządzenia lub cyrkularza do godności uroczyście obwieszczonego i zagwarantowanego prawa, co byłoby bez kwestyi wpadnięciem z deszczu pod rynnę. Dzięki temu Duma — zamieniona w dosłownem znaczeniu na wielki I l u z y o n polityczny, stała się jeszcze w obecnym swym składzie nowym rodzajem niebezpieczeństwa publicznego.

Podobno Finlandya reaguje na uchwalone dla niej bez niej prawa przez bierny opór, nie stosując się do nich i nie wprowadzając ich w życie. Na tle tego, co się dzieje współcześnie na całym obszarze państwa, postępowanie jej bynajmniej nie odbija; jest ono normalnem, powszechnie przyjętem, jest to więc spożytkowanie wszechrosyjskiego obyczaju dla samoobrony narodowej. Żadne prawa nie wchodzą w życie w Rosyi; każdy urzędnik jest źródłem prawa i dlatego każdorazowa zmiana inspektora mogłaby silniej oddziałać na losy szkolnictwa — naprzykład — niż reforma uchwalona przez Dumę, gdyby wszyscy inspektorowie nie byli — niestety — tak bardzo do siebie podobni.

Jako przykład, czem jest ten system w praktyce, dość wymienić losy naszego szkolnictwa prywatnego w Królestwie Polskiem.

Od czasu pamiętnej uchwały ministrów z d. 19 czerwca 1905 zatwierdzonej w październiku tegoż roku, żadne dotyczące go prawo w drodze ustawodawczej ogłoszonem ani zatwierdzonem nie zostało — a mimo to położenie polskich szkół prywatnych zmieniło się ogromnie i co rok na gorsze się zmienia. Nie przeszło przez Dumę postanowienie rosyjskiego wykładu historyi i geografii oraz usunięcie nie-Rosyan od nauczania tych przedmiotów w szkołach polskich, a jednak już od 2-ch lat weszło ono w życie. Mówią, że obecny minister Hesso — nic o niem nie wiedział, że ze zdumieniem o niem słuchał od osób upraszających go o dopuszczenie wyjątku z reguły. Obecnie tu na miejscu toczy się nowa nagonka. Inspektorowie narzucają szkołom prywatnym, mającym prawo układania samodzielnego programu, zwiększoną ilość godzin języka rosyjskiego, a usuwają z nich lekcye przyrody, jedni z wyższych klas, inni z niższych. Ot, zapewne na jakiejś lokalnej konferencyi zostało uchwalone zrównać program szkół naszych z programem gimnazyów. Jakiem prawem? Któż w Rosyi o prawo pyta! Nieposłuszne zakłady mogą być prześladowane lub nawet zamknięte, jeśli nie na tej zasadzie, to na każdej innej, pod pierwszym lepszym fikcyjnym pretekstem. Można z tem poskarżyć się przed Dumą czy przed senatem z równym skutkiem, czyli z żadnym. Prawo może być wydane na konstytucyjnej czy poza konstytucyjnej drodze, wszystko jedno. Duma, która nie upomina się o własne prawa i ich nie broni, nie może też skutecznie bronić praw niczyich, stąd zaś skutek dalszy, że nikt o jej prawa i o nią samą się nie upomni. Jest ona więc nowym organem i nową gwarancyą rządów bezprawia.

A oto już zupełnie nowy przykład z tej samej dziedziny. — Istnieje w Królestwie jeszcze z czasów przedkonstytucyjnych znaczna ilość średnich szkół handlowych, założonych przez zgromadzenia kupieckie i subwencyonowanych z podatków od patentów kupieckich. Wszystkie te szkoły od 1905 roku zrzekły się praw i stały się szkołami polskiemi. Jedna z najlepszych i najlepiej uposażonych znajduje się w Zagłębiu dąbrowieckiem, w Będzinie.

Już od paru lat kilku miejscowych Litwaków z kupcem p. Słuckim na czele czyniło staranie, by podatek na szkołę skasowano. Generał-gubernator — w tym wypadku stanął na gruncie konstytucyjnym i — szczerze popierając ich zamiar, radził go przeprowadzić „legalnie“, tj. zwołać zebranie, uchwalić większością głosów skasowanie podatku i wnieść do Dumy projekt zatwierdzenia tej uchwały. Ta droga wydała się inicyatorom niepewna i długa. Napisali tedy memoryał do ministra, pod którym podpisało się pięćdziesięciu rosyjskich i polskich żydów. Na skutek tego memoryału czekali nie długo; przed świętami Bożego Narodzenia nadeszło do Będzina postanowienie, by rzeczonego podatku na szkołę nie ściągać. Byt szkoły jest zachwiany. Obecnie podobną agitacyę wszczęli żydzi w Lublinie. Nie ulega wątpliwości, że zmiana, która podkopała istnienie tej jednej szkoły, a zachwiać może inne, dokonała się na drodze bez-

prawnej, ale jakaż na to rada? Interpelować w Dumie — zaiste — można. To da sposobność Puryszkiewiczowi do wygłoszenia grzmiącej mowy przeciw szkołom inorodców, Nisselewiczowi do powołania się na lojalność żydów, którzy chcą, by „rosyjskie pieniądze“ szły na polskie szkoły, a po wyjaśnieniu kwestyi możemy zamiast jednej, stracić wszystkie nasze handlowe uczelnie.

Zachodzi nawet pytanie, czy w podobnych wypadkach lewica rosyjska stanęłaby po naszej stronie, czy raczej nie wzięłaby w obronę żydów podpisanych na memoryale, jako obciążanych podatkiem na szkołę, o której istnienie wcale im — jak się okazuje — nie chodzi. Projekt, z którym nie śmianoby jawnie wystąpić na publicznem zgromadzeniu kupców w Będzinie, w Petersburgu mógłby się spotkać z dość jednomyślnem poparciem ludzi różnego kierunku politycznego, lecz w równej mierze obcych naszemu narodowi i jego dążeniom.

Dla tej to właśnie przyczyny — mimo całej sympatyi dla rosyjskich bojowników wolności — nie moglibyśmy polecać naszemu narodowi polityki, któraby kwestyę polską całkowicie uzależniała od zwycięstwa lewicy rosyjskiej i z tego zwycięstwa czyniła jedyną dźwignię naszej przyszłości. W pewnych granicach istnieje równoległość i łączność między naszemi a jej dążeniami i w tych granicach obie strony winny sobie wzajemnie udzielać poparcia. Na tej linii stycznej nie można jednak umieścić całej kwestyi polskiej, nie możemy redukować jej do znaczenia jednego paragrafu w programie kadetów.

U nas rozumieją to nawet reakcyjne grupy — a postępowcy rosyjscy nie rozumieją. — Gdy my radzi w nich widzimy sprzymierzeńców, oni występują w roli opiekunów i w tym charakterze udzielają nam nauki, jak mamy zachowywać się względem Rusinów, żydów, chłopów i td., dając mniej lub więcej delikatnie do zrozumienia, że przez stosowanie się do ich rad, zasłużymy sobie na ich dalszą protekcyę. Ta warunkowość poparcia jest czemś, co nawet w p. Straszewiczu obruszyło i obraziło godność narodową, a jednak zyskuje szeroki i gorący poklask wśród żydów, wielce zadowolnionych, gdy na polskich wekslach politycznych ich żyra okazuje się potrzeba.

Zaprawdę chwila obecna usprawiedliwia wszelki sceptycyzm u Polaków i temu nikt nie ma prawa się dziwić.



ADAM LISIEWICZ.

MONOGRAFIA GALICYI.

I.

Społeczeństwo polskie w Galicyi rozwijało się nienormalnie, nie znając najbardziej zasadniczych podstaw swego istnienia. Pierwsza książka zajmująca się zbadaniem podłoża ekonomicznego, dzieło prof. Bujaka, okazało się tak niedawno*). A i to ukazanie się połączone było z ogromnemi trudnościami, olbrzymim nakładem pracy autora, pozbawionego nieistniejących publikacyi urzędowych, zmuszonego do podejmowania badań wśród ludności niechętnej zupełnie tego rodzaju nowoczesnym „wymysłom“! „Galicya“ to niezwykle cenna praca nietylko dla tych, którzy się życiem społecznem i politycznem zajmują, ale dla tych wszystkich, którzy z tem życiem mają jakąkolwiek styczność. Wiemy wszyscy, że kraj nasz jest pod wieloma względami zacofany, że kolosalny rozwój nowych form na zachodzie Europy mało odbił się na Galicyi. Sama oddalona, nie mogła nadążyć dość szybko, państwo zaś o nią wcale się nie troszczyło, tem bardziej, że ze strony reprezentacyi kraju nie czyniono żadnych usiłowań w tym kierunku. Sejm rządzony przez jedną warstwę nie starał się o rozwój innych, ani nawet swojej — starając się zamiast pracą, wzmacniać się przywilejami. Obecnie stosunki idą ku lepszemu, choć tempo jest zbyt wolnem i nie odpowiada potrzebom, nieraz wprost palącym.

Posługując się ogromnym materyałem cyfrowym starał się autor dać najpełniejszy obraz życia Galicyi, a porównując nasze stosunki z analogicznymi objawami państwa austryackiego i innych, tem plastyczniej je wyprowadził i cechy charakterystyczne uchwycił.

Tom I zajmuje się ludnością Galicyi, jej uwarstwowieniem narodowem i socyalnem i t. d. — a przechodząc do rolnictwa i wszystkich rzeczy, jakie z kulturą rolną i własnością ziemską się łączą, maluje w sposób wyczerpujący stan wszystkich gałęzi kultury wiejskiej, wszystkie jej zalety i niedostatki oraz wskazania na przyszłość. Część ta jest dla nas nieoceniona i znalazła w autorze niezwykłego znawcę, poruszającego kwestye takie, jak parcelacya, komasacya, wpływ prawnego dziedziczenia na stosunki, polityka asocyacyjna i t. d., wszystkie kwestye wciąż aktualne, nieraz nawet nowe, o których mówi się i pisze bez dokładnego pojęcia. Wogóle brak należytego wykształcenia w wielu sprawach daje nam się bardzo dotkliwie odczuwać.

*

Galicya jest krajem rolniczym, którego naturalną drogą handlową jest Wisła a dalej morze Bałtyckie. Związana politycznie i celnie z krajami wysoko rozwiniętymi pod względem przemysłowym, popadać musi w spory z nimi, —a co za tem idzie dążyć do samodzielności politycznej i gospodarczej.

Ludność liczyła w r. 1900 7,316.000 głów, t. j. 93 na km^2; w stosunku do sił ekonomicznych i potrzeb jest przeludnioną, czego dowodzi silna emigracya. Ludność polska stanowiła 54·8%, ruska 42·2%. Ludność polska na wschodzie rozrzucona, stosunki ilościowe są jednak bardzo niestałe i zmienne; wobec walki narodowościowej jest autor

*) Franciszek Bujak. Galicya. Lwów 1908—10. „Wiedza i Życie“.

zwolennikiem katastru narodowego. Żydów jest 11% — zajmujących się przeważnie handlem.

Stosunki zawodowe i socyalne nie są w Galicyi pomyślne. Zróżnicowanie jest bardzo słabe i przemysł zatrudnia ledwo dziesiątą część ludności, gdy w państwie austr. jedną czwartą, a stosunek ten zmienia się wciąż na niekorzyść wobec szybszego rozwoju przemysłu w państwie niż w Galicyi. Najkorzystniejsze zróżniczkowanie zawodowe wykazuje ludność żydowska, najmniejsze ludność ruska. Polacy są w Galicyi wschodniej znacznie silniej zróżnicowani niż w zachodniej; wogóle w zawodach wszelkich prócz rolnictwa jest przewaga Polaków.

Społeczeństwo dzieli autor nie klasowo według statystyki zawodowej, lecz stanowo — jako bardziej odpowiadające istotnemu rozkładowi sił i interesów społecznych u nas.

Duchowieństwo i nauczycielstwo są to zawody wchodzące w bezpośrednią styczność z ludem. Jeżeli się w stosunkach tych zawodów rozejrzymy, przekonamy się, że wpływ duchowieństwa przeważa ogromnie nad wpływami nauczycielstwa. Łączy bowiem księży z ludem pochodzenie, powagi dodaje pełna uroku władza, ułatwia swoboda i niezależność pod względem majątkowym oraz doskonała organizacya i rozmieszczenie. Praca duchowieństwa mogłaby wydać w podniesieniu ekonomicznem ludzi ogromne rezultaty, gdyby oprzeć je na szerszych podstawach wykształcenia poza homiletyką i katechezą i gdyby nie wolało zajmować się bardziej polityką i egoistycznem dążeniem do władzy, niż pracować nad podniesieniem kultury. Nauczycielstwo ludowe (3740 szkół, 5400 sił nauczycielskich wiejskich, 5200 miejskich) różni się często pochodzeniem, wskutek tego ciążeniem ku miastu i nieznajomością stosunków wiejskich, ponadto troska o rodzinę, słabość uposażenia i zależność od władz utrudnia jakąkolwiek działalność; przygotowanie ekonomiczne wymaga też poparcia Rady szkolnej. Dopiero wtedy możnaby mówić o korzyściach, o podniesieniu kulturalnem i ekonomicznem ludu.

Więksi właściciele ziemscy zajmują dotąd rolę dawnej szlachty. Nie mogą zrozumieć, że obecnie nie wystarczy w chwilach wolnych od polityki administrować, ale gruntowną wiedzą powiększać wydajność majątku. Zamiłowanie do polityki, wywołane zresztą supremacyą polityczną, sprawia niechęć do studyów gospodarczych; np. zaledwo 12% synów właścicieli ziemskich studyowało rolnictwo, gdy 66% zajmowało się nauką prawa!

W ślad za właścicielami idą i urzędnicy rolni, których 60% nie ma żadnego wykształcenia prócz szkoły ludowej — skutkiem czego Galicya nie wybrnęła dotąd z gospodarki naturalnej na pole intenzywnej przy kapitale zakładowym i obrotowym, jak to już uczynił zabór pruski, a po części i rosyjski. Większość rządząca krajem nie miała programu agrarnego, wstrzymywała więc rozwój budżetu krajowego na inwestycye, bojąc się przyrostu podatków bezpośrednich. Panowanie polityczne szlachty dobiega już końca, może więc weźmie się do pracy nad sobą, w przeciwnym bowiem razie grozi zupełny upadek średniej własności ziemskiej przez parcelacyę i na korzyść latyfundyów. Zresztą społeczeństwo na tem by nic nie straciło, znaczenie polityczne ziemiaństwa dla kraju nie jest dodatnie, czego dowodzi choćby samorząd powiatowy, gdzie jakakolwiek inicyatywa pochodzi w największej ilości wypadków od inteligencyi miejskiej lub włościaństwa. Nawet pod względem kultury dwory nie były nigdy jej ogniskami, chyba wyspami izolowanemi wśród morza chłopskiego.

Inteligencya nasza tworzyła się początkowo z warstwy ziemiańskiej i mieszczańskiej. Stopnio coraz większy był przypływ z warstw ludowych, tak np. dziś na uniwersytecie jagiellońskim przeszło 20% pochodzi z ludu wiejskiego. Stosunek ten bardzo znacznie powiększa się jeszcze u Rusinów. Jest to objaw anormalny, spowodowany brakiem odpływu do zawodów przemysłowych i niewskazany, ponieważ wszystkie lepsze siły opuszczają rolnictwo. Ponadto większość uczących się po gimnazyach i uniwersytetach żyje marnie, tracąc energię nie na naukę lecz na troskę o utrzymanie. Inteligencya nie stoi wysoko pod względem umysłowym, o czem świadczy mała ilość kupowanych książek, rozchodzących się gazet i pism; nie dostarcza też dostatecznej pomocy przy pracy oświatowej, asocyacyjnej i t. d. System ten wychowania średniego nie odpowiada zupełnie potrzebom rzeczywistym społeczeństwa.

Mieszczaństwa w znaczeniu zachodnio-europejskiem jako trzeciego stanu posiadającego właściwie niema jeszcze w Galicyi. Dotąd się niem nikt nie zajmował i stan jego jest opłakany i zacofany. Brak kapitału obrotowego, brak organizacyi kredytowej, wreszcie brak wykształcenia zawodowego i ogólnego, to przyczyny dla których przemysł nie może wyjść poza rzemiosło. Wspólna akcya gospodarcza nie wiedzie się — mamy zaledwie kilka stowarzyszeń rzemieślniczych. Obecnie Austrya weszła na drogę „polityki stanu średniego“, mającej chronić drobny przemysł i handel. To jednak nie wystarczy i konieczną okazuje się pomoc intenzywna inteligencyi, co musiałoby przerwać nareszcie anormalne odcięcie jej od mieszczaństwa, skutkiem czego utraciła ona zupełnie swój wpływ.

Lud w Galicyi okazuje ogromną siłę żywotną; rozszerza podstawy swego gospodarczego bytu, co widzimy z parcelacyi większej własności, a za granicą przez emigracyę zarobkową. Chłop odznacza się oszczędnością i ogromnym realizmem życiowym. Jest on dotąd drobnym producentem rolniczym, uprawiającym ziemię prawie tylko dla własnych potrzeb, pracuje na utrzymanie a nie na jakikolwiek dochód, jak np. chłop szwajcarski czy duński. Ewolucya jednak w tym kierunku jest nieuniknioną. Wykształcenie chłopa zawodowe i ogólne jest minimalne — należy koniecznie dążyć do podniesienia go przez utworzenie szkolnictwa wyższego na wzór skandynawski. Styczności z innemi warstwami ma mało i stąd pochodzi ogromna nieznajomość stosunków wiejskich, a brak zupełny w tym kierunku jakichś dążności ze strony krajowego rządu. Z polityką styka się i ulega na tym polu wpływowi stronnictwa ludowego, którego wpływ uważa autor za szkodliwy, zarzucając mu dezorganizacyę i utrudnianie akcyi T. S. L., kas reifaisenowskich i t. p. (C. d. n).



K.

SUKCESY WIEDEŃSKIE.

Dowiedzieliśmy się nareszcie z ust premiera gabinetu przy otwarciu nowej sesyi Izby Posłów. jakiem jest właściwe brzmienie owej deklaracyi, mającej poręczać budowę dróg wodnych. Usłyszeliśmy, że nowy rząd uważa za swe zadanie „starać się o najrychlejsze przedsięwzięcie“, nietyle budowy samej, jakby oczekiwać mógł naiwny słuchacz, ile „odpowiedniej rewizyi ustawy... z r. 1901, o ile ona z przyczyn finansowych i technicznych w obecnem brzmieniu okazała się niemożliwą do przeprowadzenia“. Aż dotąd stare rzeczy; by to usłyszeć, nie było warto obalać Bilińskiego, wypuszczać z rąk teki skarbu, najważniejszej teki resortowej. A dalej następuje wzmianka o „zapewnieniu interesów wszystkich krajów interesowanych“ — więc zapowiedź odszkodowania za kanały. Dalej jeszcze wzmianka o zaspokojeniu „życzenia i potrzeby zbudowania w Galicyi spławnych połączeń wodnych“. Więc nieterminowa, nieokreślona w czasie obietnica budowy jakichś komunikacyi, co do przestrzeni znowu nie określonych. Tak przedstawia się na pierwszy rzut oka ów zapowiedziany przez surmy samochwalcze sukces wiedeński.

Tymczasem zaś przesilenie, z którego on wyniknął, bodajby nie jako mysz przysłowiowa, pociągnęło za sobą przesilenie wewnętrzne w Kole Polskiem. I to przesilenie trwa nadal. Jest zgoda co do powierzenia buławy regimentarskiej bezprzymiotnikowemu demokracie. Niema zgody co do osób. Upadły kombinacye z posłem Petelenzem. Właśni koledzy frakcyjni obalili kandydaturę posła Stwiertni. Narodowi demokraci nie dopuścili niedawnego renegata ich obozu, posła Germana; przeforsowali posła Łazarskiego z Wadowic. Demokrata typu krakowskiego, o pokroju jednak dość radykalnym, z pięknym gestem patryotycznym, świetny w swoim czasie obrońca Wandy Dobrodzickiej, czem będzie poseł Łazarski jako prezes Koła? Jedno jest pewne: że minister—narodowy demokrata, minister — podolski konserwatysta i prezes-demokrata polski, będą mieli do czynienia z podziemną robotą niezaspokojonych, rozjątrzonych ludowców. Radość więc z powodu konsolidacyi Koła jest conajmniej przedwczesna.

Pozostaje jeden jeszcze sukces uboczny: pogorszenie sytuacyi w sprawie reformy sejmowej. Poręką jej przeprowadzenia miał być prezes i zarazem referent komisyi, poseł Głąbiński. Teraz profesor Głąbiński awansował na ministra, a sprawa reformy wyborczej cofnęła się w niezawodne ręce Podolaka, posła Starzyńskiego, zdecydowanego jej wroga...

O wszystkich tych sprawach rozmawialiśmy z red. Bolesławem Wysłouchem, przywódcą lewego, ideowego odłamu ludowców i z wybitnym młodym działaczem tejże grupy, p. Janem Dąbskim, redagującym najlepsze w kraju pismo chłopskie: „Gazetę ludową“. Poglądy ich żadnym półtonem optymizmu nie różniły się od naszych.

— W oświadczeniu rządu — mówił red. Dąbski — znać, że był nań wywierany nacisk. Wygląda ono jednak na próbę stępienia ostrza opozycyi zapomocą usypiającego frazesu. Według mnie cały ciężar zagadnienia w tem spoczywa, że ustawa z roku 1901 jest najważniejszą gwarancyą budowy kanałów; stać należy na stanowisku, że ustawa ta musi być w całości wykonana. Tymczasem enuncyacya rządu, układana niewątpliwie przy udziale ministrów polskich, a za wiedzą Koła Polskiego, zapowiada właśnie „odpowiednią“ rewizyę ustawy, podając niedwuznacznie jako motyw, że rząd nie chce dać pieniędzy! Wdano się zatem w kompromisy, osłabiające naszą pozycyę. Za to jest w oświadczeniu aluzya do odszkodowania. Otóż jeden z wybitnych polskich polityków, specyalnie zajmujący się sprawami finansów, dowodził mi, że gdy tylko się wyłoni kwestya odszkodowania dla Galicyi, choćby w kwocie 120 milionów, pojawią się ze wszech stron pretensye — Austryi, Czech, krajów alpejskich i narośnie tego conajmniej 600 milionów. Za taką zaś sumę rząd może spokojnie budować kanały! Odstąpienie więc od budowy kanałów w całości równa się zupełnemu pogrążeniu sprawy i dlatego zapowiedź Bienertha nie jest dobrą wróżbą.

— Jaką taktykę powinno pańskiem zdaniem obrać teraz Koło Polskie?

— Jeżeli uważa, że gwarancye Bienertha są wystarczające, to powinno domagać się jaknajszybszego rozpoczęcia prac przygotowawczych, bo wówczas dopiero naocznie się przekonamy, czy w oświadczeniu rządowem jest coś konkretnego i szczerego. Jeśli rząd robót nie rozpocznie zaraz, dowiedzie tem samem, iż swoją enuncyacyą chciał tylko oczy zamydlić. Czy jednak Koło Polskie zdecyduje się pójść tą drogą, to rzecz wątpliwa.

— Co sądzicie o wewnętrznych stosunkach w Kole?

— Ukształtowały się w sposób najfatalniejszy Nagromadziło się dużo zawiedzionych nadziei i ambicyi. Są tacy zawiedzeni, którzy nie będą sobie robić skrupułów w wywoływaniu waśni wewnętrznych, a zdaje się, że to będzie głównym ich celem Sytuacya w Kole zła, bo blok popierający ministrów, tak jest słaby, że jednolita polityka byłaby przy nim niemożliwa. Są dwie grupy zawiedzione, demokraci i ludowcy. Wspólny ten los zbliża je do siebie. Niewiadomo przecież, jaki wpływ na demokratów wywrze prawdopodobny wybór p. Łazarskiego prezesem Koła.

— Czy ludowcy, czując się odosobnieni w Kole, zdecydowaliby się na wystąpienie z niego?

— Nie wystąpiliby z Koła. Co najwyżej mała grupka mogłaby na to się zdobyć. Ostatnie wypadki osłabiły bardzo wiarę posłów-ludowców w osobę Stapińskiego. Czują oni dobrze, że wyodrębnieni nie odgrywaliby żadnej politycznej roli.

— Jak oceniacie ogólne położenie parlamentarne?

— Sytuacya zła. Wszystko idzie ku rozwiązaniu Rady Państwa. Jest w tem jakaś celowa akcya, z której radują się konserwatyści. Nie mają oni nic do stracenia, a spodziewają się zyskać. Że stanowiska demokratycznego rozwiązanie tego pierwszego parlamentu ludowego byłoby fatalne. Przyniosłoby ono masom zupełne rozczarowanie co do skutków reformy. Ku temu zdążają zaś rzeczy nietyle wskutek sporu czesko-niemieckiego, ile wskutek katastroficznej polityki finansowej. Rząd ma przed sobą wydatki tak olbrzymie, że bez nowych dochodów sięgających ćwierci miliarda nie da sobie rady. Biliński przyznał się tutaj podczas sejmu, że obecny deficyt, maskowany przez sztuczki budżetowe, wynosi 150 milionów. Takiego budżetowania nie wytrzyma żadne państwo dłużej, jak przez parę miesięcy. Zachodzi konieczność nowych podatków których Izba, stojąca przed nowemi wyborami, nie uchwali. Przyszłość ciemna i wiarę w nią odzyskuje się tylko przy pracy wśród masy chłopskiej.

I potoczyła się rozmowa na temat Kółek rolniczych, „Gazety ludowej“, obchodów grunwaldzkich na wsi...

Z PRASY POLSKIEJ.

POD ADRESEM AUSTRYI

pisze lwowska „Rzeczpospolita“, z powodu wyodrębnienia Chełmszczyzny i wcielenia jej do Cesarstwa, szereg ważnych uwag, które powinny były być wypowiedziane w parlamencie i w delegacyach, a dla których tam, na jedynej trybunie europejskiej, dostępnej dla nas w całej pełni, — nie było miejsca:

„W projekcie wydzielenia Ziemi Chełmskiej“ faktycznie nie może chodzić o obronę prawosławia i obronę Rosyan. Do połowy siódmego dziesiątka XIX. wieku nie było prawosławnych w Królestwie, powstali oni tylko z przemocą nawróconych unitów, a dziś w gub. lubelskiej i siedleckiej, których części chcą przyłączyć do nowej gubernii, jest na 2,350.000 mieszkańców mniej niż 15% prawosławnych, a trzeba dodać, że znaczna część tych prawosławnych przyznaje się otwarcie do polskiej narodowości.

„Stworzono przeto sztucznie prawosławie, a teraz pragnie Rosya sztucznie stworzyć dla niego posterunek obronny.

„Ściśle rzecz biorąc, jest to wewnętrzna wojna polityczna państwa ze swoimi obywatelami, w której religia użytą została jako baterya atakująca; jest to wojna religijna pod ochroną polityki. — Czy taką wojnę prowadzi się zapomocą armii i żołnierzy, czy za pomocą wyzyskiwania fanatyzmu religijnego zamiast dział i karabinów, — istota rzeczy nic na charakterze i następstwach nie traci.

„Dla Austryi nie może być nigdy rzeczą obojętną, co się tuż za jej granicą dzieje, bo wiatr przenosi pożar w różne strony, a nigdy niewiadomo co zniszczy i kiedy.

„Nie mamy prawa żądać od Austryi mieszania się w politykę Rosyi wewnętrzną, ale skoro ta polityka jest pozbawiona rozumnych i prawnych podstaw, skoro skutkiem tego staje się groźną dla spokoju i prawidłowego życia sąsiada, a traktat wiedeński z r. 1815. daje podstawę do uważania sprawy granic Królestwa Polskiego za międzynarodową, wówczas jest obowiązkiem mężów politycznych państwa w spokojnych i rozważnych przedstawieniach zwrócić uwagę sąsiada na niebezpieczeństwa takiej polityki. Życzliwość międzynarodowa nie polega na milczącem patrzeniu na wewnętrzne życie ościennych państw lecz na przestrzeganiu także przed niebezpieczeństwem, którego kierownicy polityczni u siebie w domu mogą nawet niedostrzegać.

„Taką rolę powinna teraz przyjąć na siebie Austrya — w imię pokoju europejskiego i sprawiedliwości politycznej“.

AUSTRYA I ROSYA.

Z powodu pogłosek o załagodzeniu stosunków między Austryą i Rosyą i o politycznem polowaniu w Skierniewicach zamieszcza w „Gazecie Wieczornej“ p. Konstanty Srokowski poważny artykuł polityczny. Rzuciwszy okiem na dzieje wzajamnego stosunku obu wspomnianych mocarstw i na antagonizm, który stale leży na dnie owego stosunku, a utajony na moment, za chwilę znów się ujawnia — autor dochodzi do następującej konkluzyi rozumnej i bystrej.

„To jest pewnem, że w Austryi antagonizm ten dopóty nie nabierze znaczenia naczelnej racyi stanu, dla której poświęca się wszystko inne, dopóki państwo to nie zdecyduje się pójść jedyną stojącą mu otworem drogą do rozwoju i pięknej przyszłości, mianowicie drogą przeistoczenia się w federacyę wolnych i równouprawnych narodów. Tylko taka Austrya będzie mogła i umiała zmierzyć się z jedyną naturalną swoją rywalką i antagonistką na wschodzie — z Rosyą. Austrya dzisiejsza, Austrya szukająca ustawicznie kwadratury koła, jakiem jest utrzymanie jej rzekomo niemieckiego charakteru i centralistycznego systemu, nigdy nie będzie miała tyle siły, ile by jej potrzebowała, aby przedewszystkiem uzależnić się od swojego bardzo drogiego sojusznika w „błyszczącej zbroi“, a potem już zmjerzyć się z Rosyą“.

KLĘSKA LITWACKA.

Sprawa litwacka nie schodzi z łamów prasy warszawskiej. Wśród prasy postępowej rozłam. „Nowa Gazeta“, zgasły niedawno „Młot“, Wolne Słowo“ oburzają się na tzw. „antysemityzm postępowy“ „Myśli Niepodległej“, której bez tej impulsywności i porywczości, spokojniej, w sposób więcej rzeczowy, sekundują „Kuryer Poranny“ i „Prawda“. W walce tej wyoobyto na jaw rzeczy istotnie zastraszające. Można nie godzić się na porywcze wypowiedzenia się „Myśli niepodległej“, przecież za zasługę musi się poczytać znakomitemu pisarzowi, który ją redaguje, że zmusił opinię Polaków wszelkiego wyznania i pochodzenia do zajrzenia w oczy groźnej rzeczywistości.

Taki zastraszający objaw notuje „Prawda“ w artykule zatytułowanym w sposób znaczący: „Antygoizm wsteczny“. Idzie o nagonkę rabinów i działaczy żydowskich na prowincyi przeciw kooperatywom. Nie pozwala się żydowskim właścicielom domów na wynajmowanie lokali na sklepy współdzielcze. „Hazman“ poważnie rozważa kwestyę wytępienia zrzeszeń współdzielczych i podaje sposób ich rujnowania, a to „żeby hurtownicy, sprzedający towary sklepom współdzielczym, przestali raz na zawsze udzielać im kredytu“. W ten sposób sklepy, zmuszone szukać towaru w odległych mtejscowościach, ponosić będą straty i upadać, bo hurtownicy to w wielu miasteczkach — wyłącznie żydzi. Słusznie zapytuje „Prawda“: „czemu milczą uświadomieni robotnicy żydowscy“. którzy świeżo protestowali przeciw „antysemityzmowi postępowemu“? Czemu nie bronią interesów wyzyskiwanych spożywców i ich organizacyi przed wyzyskiwaczami — pośrednikami i propagowanym wśród nich „antygoizmem wstecznym?“

Lecz alarm „Hazmana“ wskazuje wyraźnie, skąd zagraża niebezpieczeństwo litwactwu, jaka jest broń przeciw niemu. Kultura, oświata, organizacya społeczeństwa, kooperacya...

„Kuryer Poranny“ zwraca uwagę na fakt znamienny: oto, że żywioły litwackie, które tak fatalnie skompromitowały i spaczyły rewolucyę polską, dostarczyły również kontyngentu owej szajce „anarchistów“, grasujących po Europie i wsławionej świeżo homeryczną rozprawą na Sidney-Streett w Londynie. Ogłoszono ich zrazu jako Anglików, później przechrzczono na „Łotyszów“, czy „Litwinów“; niektóre pisma angielskie uczyniły ich nawet Polakami i rozwodziły się nad polskim zabytkiem etnograficznym w rodzaju... golenia głów kobietom zamężnym w dniu ślubu. Powoli dopiero ujawniła się przynalesność etnicza londyńskich „łotyszów“. Wyszli oni z Ghetta naszych miasteczek. Ich mowa „rosyjsko-polska“ okazała się żargonem litwackim. Ich wódz i zdrajca zarazem okazał się byłym wodzem bojówek socyaldemokratycznych, „Zmowy Robotniczej“ i „Czarnego Sępa“...

Lecz nie wystarczy tu demaskowanie i alarmowanie opinii. Trzeba z sercem braterskiem i z kulturą polską wdzierać się do Ghetta. Tę drogę wskazuje też artykuł styczniowej „Kultury Polskiej“.



SILVA RERUM.

W OSIEMDZIESIATĄ ROCZNICĘ DETRONIZACYI. Nadchodzi dzień 25. stycznia. A niewielu może w Polsce pomyśli w ów dzień, że to właśnie minęło lat osiemdziesiąt, odkąd panowanie nad Polską Mikołajów i Aleksandrów utraciło pozory prawności, a stało się prostym aktem przemocy i gwałtem. Na ulicach Warszawy osobliwy kondukt żałobny, ku czci tych cudzoziemców, których szyje szlachetne lat temu pięć zawisły w Petersburgu na szubienicy. Powiewają sztandary z napisami: „za wolność naszą i waszą“. W Izbie sejmowej Lelewel broni Polaków przed zarzutem, jakoby oni pierwsi złamali konstytucyę, marszałek Ostrowski oskarża Mikołaja, Antoni Ostrowski przypomina słowa swego brata, wyrzeczone podczas przysięgi koronacyjnej: „biada temu, kto ją zgwałci“. Na porządku dziennym postawiony wniosek Romana Sołtyka: rodzinę Romanowych — potomkowie Katarzyny Anhalt-Zerbst i Sołtykowa — usuwa się od polskiego tronu, stanowiąc wszechwładztwo ludu polskiego. Głos zabiera Jan Ledóchowski, poseł jędrzejowski, aby kunktatorstwu kres położyć; rzuca piorunujące wyrazy, dawno już obwieszczone Polsce karabinami podchorążych: Niema Mikołaja. „Cała izba porwana mocą tego wyrażenia, silniejszego zapewne na razie w obradach, jak w historyi, powtórzyła po kilkakroć: niema Mikołaja. To byli Polacy. Mikołaj przestał być królem o godzinie kwadrans na czwartą popołudniu, dnia 25 stycznia 1831 roku... Mikołaja króla polskiego już nie było — został tylko na nieszczęście car samowładny“.

„Dzięki wam, dostojni reprezentanci!“ — wołał w „Nowej Polsce“ Mochnacki. — Imiona wasze od dnia dzisiejszego słynąć będą w dziejach!... Namże to car moskiewski śmie grozić zdala? nam najstarszym synom europejskiej wolności?“.

Przegraliśmy wojnę, w której wielekroć od woli naszej zależało zwycięstwo. Zostaliśmy zdławieni przez najazd wroga. Lecz dzisiaj jeszcze wolniej oddecha pierś na wspomnienie owej uchwały, którą naród polski przebudzony, z sumienia swego „odrzucił grzech — cara“.

DOLA I NIEDOLA HR. WODZICKIEGO. Naród polski nie umie być wdzięcznym względem swoich wielkich. Nie okazał też powinnej wdzięczności hr. Antoniemu Wodzickiemu. Mąż ów cnotliwy, wiedziony czystą troską o dobro narodu, wystąpił jak wiadomo przeciw święceniu rocznicy grunwaldzkiej. Uczynił to zgoła bezinteresownie, aczkolwiek jednocześnie targował u rządu pruskiego, spadkobiercy Zakonu, sumę 4 milionów marek tytułem odszkodowania za zrzeczenie się praw agnata do ordynacyi rydzyńskiej. Działał to wraz z drugim polskim arystokratą, agnatem Sułkowskich, hr. Henrykiem Potockim, a zastępcą ich prawnym był nowokreowany arystokrata poseł Natan de Loewenstein. („Bo Brutus jest mąż ze wszechmiar szanowny i tamci wszyscy są szanowni ludzie“). Przed sądem Rzeszy w Lipsku toczył się proces między kamerą pruską, a dalszymi agnatami Sułkowskich, którzy podnieśli z kolei swoje prawa. Do obalenia tych pretensyi dopomógł dzielnie dr. Loewenfeld, zastępca obu hrabiów patryotów, a współdziałał z nim pono demokratyczny arystokrata de Loewenstein. (Bo Brutus jest mąż ze wszechmiar szanowny...). Rząd pruski posiadł Rydzynę. Pono odda ją komisyi kolonizacyjnej. Szanowna ta instytucya, zagrożona bankructwem wskutek wygórowanych cen ziemi, stanie zapewne na nogi i kultura niemiecka na kresach stanie twardą stopą. Czem wszystkiem arystokratyczna trójca — Wodzicki, Potocki, Loewenstein — niemałe poniosła zasługi względem umiłowanego narodu polskiego. Tak zapewnia poseł de Loewenstein, »a Brutus jest mąż ze wszechmiar szanowny«. W uznaniu też zapewne dla tych zasług hr. Wodzickiego rada powiatowa chrzanowska wybrała go niedawno swoim marszałkiem.

Nie tak wdzięczną była reszta narodu. Że prasa demokratyczna wszelkich odcieni uderzyła na zasłużonego męża stanu, o tem niema co mówić. Na takie hałasy motłochu prawy koserwatysta usposobiony dynastycznie zgoła nie potrzebował zwracać uwagi. Że tam organ grupy patryotycznych polityków z pośród młodej szlachty podolskiej, „Rzeczpospolita“, odmalował jaskrawo „panicza, franta, karciarza“, to było tylko w obozie arystokratycznym junackie „liberum veto“. Ale oto zgotowała dotkliwą przykrość naszemu przekonanemu monarchiście Rada miejska w poczciwym, ultramontańskim, konserwatywnym Krakowie. Prawda, że za sprawą „antynarodowych żywiołów“. Uosobieniem ich był, jak zwykle, poseł i radny Ignacy Daszyński. Na posiedzeniu z d. 12 stycznia zapytał on wręcz prezydenta, czy hr. Wodzicki złożył mandat radziecki, a jeśli nie, czy prezydent nie uważa za stosowne wezwać go do oczyszczenia się z zarzutu sprzedawczykowstwa? Zarządzono posiedzenie tajne. I mówił poseł Daszyński: „A ja powiadam panom, że ktokolwiek staje w ten sposób w poprzek na drodze naszej przyszłości, kto wrogowi ziemię sprzedaje, a wśród swoich sieje demoralizacyę — czy to hrabia, czy łapserdak, musi być zgnieciony i precz odrzucony“... „Nie ze stanowiska partyjnego ani nawet ze stanowiska klasowego przemawiam w tym wypadku — mówił Daszyński — i pierwszy bym się cieszył, gdyby hr. Wodzicki i hr. Potocki mogli udowodnić swoją niewinność, aby w Polsce było mniej o dwóch łajdaków wobec naporu pruskiego“... Wszczęła się dyskusya. Jeden biedak, dr. Ehrenpreis, chciał prosić hr. Wodzickiego, by ten raczył odpowiedzieć, czy i na jaki zgadza się sąd. Dr. Doboszyński również prawił o delikatności i pozostawiał poddanie się sądowi do decyzyi obwinionemu. Ale znalazł się taki prof. Bujwid, który cześć oddał socyaliście, że miał on odwagę poruszyć tę haniebną sprawę. Radni Turski, Starzewski, Gertler, Kossobudzki, Staniszewski poparli wniosek Daszyńskiego. Ogromną większością Rada, oddała pod sąd występnego panka.

My tylko wywołujemy raz jeszcze w pamięci czytelników czcigodną postać dzielnego generała, który na kilka tygodni, zanim przyszło mu Szczekocinami zginąć śmiercią mężnych, ludowi domagającemu się gilotyny na zdrajców, rzucił zdanie: „Obywatele, na co to obce słowo! Wystawimy szubienice i na nich wieszać będziemy zdrajców“.

Mówił to pradziad stryjeczny hr. Antoniego, Wodzicki Stanisław.

LEŚNICY LWOWSCY W WIĘZIENIU ROSYJSKIEM. Wojna podziemna, która w ostatnich latach rozgorzała między Austryą i Rosyą i która zalała Galicyę powodzią szpiegów, agentów-prowokatorów, agitatorów moskalofilskich, odbiła się w sposób tragiczny na losie kilku Polaków w dobrach Połonne na Wołyniu U zarządcy lasów tamtejszych, należących do hr. Karwickiego, p. Józefa Łękawskiego, bawiło paru słuchaczy lwowskiej szkoły lasowej, zajętych przy pomiarach lasów. Wysłani na tę wakacyjną robotę przez Dyrekcyę zakładu, mieli obowiązek zdawać cotygodniowy raport z dokonanej pracy. W październiku z. r. 2 z pośród nich, Galicyanina Szkowrona i Królewiaka Dąbrowskiego wraz z p. Łękawskim, również poddanym austryackim, uwięziono pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Austryi. Żandarmi rosyjscy ukuli oskarżenie, że pomiary czyniono celem dokonania zdjęć topograficznych dla sztabu austryackiego, a centralne biuro szpiegowskie zaprzyjaźnionego sąsiada mieści się w wyższej szkole lasowej lwowskiej. Więźniów osadzono w Zytomierzu; przez jakiś czas trzymano Łękawskiego w kajdanach; Szkowrona odosobniono zupełnie i narzucono mu strój aresztancki. Żona Łękawskiego przypłaciła nieszczęście męża śmiertelną chorobą..

Wszystko to nie dziwi nas zgoła z punktu widzenia rosyjskich żandarmów, szukających za wszelką cenę odwetu na Austryi za galicyjskie obławy. Że przytem unieszczęśliwiono kilka niewinnych osób i że grozi im sąd za winy niepopełnione (akt oskarżenia doręczony!) i to jest aż nazbyt zwykłą rzeczą. Lecz co innego nas zdumiewa! Za uwięzionymi nie wdrożyła skutecznej akcyi Dyrekcya zakładu, który ich wysłał; nie potrafił za nimi się ująć przełożony tejże dyrekcyi Wydział Krajowy z marszałkiem Badenim. Nie słychać o interwencyi hr. Aehrenthala i konsulatu austryackiego w Kijowie. W sprawie tej zaniepokojona opinia publiczna żąda wyjaśnień. Podobno poseł Tomaszewski, do którego nareszcie (po upływie trzech miesięcy z górą!) raczyła zwrócić się Dyrekcya, zamierza interpelować w parlamencie wiedeńskim. Mamy nadzieję, że wszyscy przedstawiciele Galicyi we Wiedniu energicznie zażądają od rządu skutecznej ochrony dla obywateli państwa, przebywających pod caratem.

Z KATORŻNYCH MORDOWNI. „Naprzód“ krakowski zamieścił niedawno obszerny artykuł, nadesłany mu przez komitet organizacyjny krakowskiego związku pomocy dla więźniów politycznych, z wstrząsającym opisem mordów, jakich dzicz żołdactwa dopuszcza się na więźniach-katorżnikach. Rzadko przenika głos dziennika so-

cyalistycznego ścianę niechęci, jaką odgradza się od niego reszta prasy. Stąd uważamy za potrzebne powtórzyć w skróceniu owe dzieje zwycięstw, które bohaterowie dzisiejszej Rosyi odnoszą nad bezbronnymi i zakutymi wrogami.

„W państwie samowładnego cara — czytamy we wspomnianym artykule — już od lat wielu kwestya więzienna zajęła jedno z naczelnych miejsc w szeregu kwestyi dnia bieżącego, absorbując świadomość lepszej części społeczeństwa. Lecz warunki i życie w więzieniach rosyjskich pomimo całej swej aktualności pozostawały nieznane zagranicy i tylko głośniejsze echa męczarni i znęcań się nad więźniami politycznymi docierały do niej. W czasach ostatnich przedostały się znów poprzez głuche mury kaźni rosyjskich tragiczne wieści o stosowaniu chłosty i znęcaniach w Wołogdzie i Górnym Zerentuju.

W sprawozdaniu głównego zarządu więziennego za rok 1908 czytamy: „Ochrona osoby więźnia przed zbytnim okrucieństwem i stłumieniem w nim poczucia godności własnej stanowi główne zadanie penitencyarnego systemu". Przyjrzyjmy się bliżej, jak wygląda w rzeczywistości czuła opieka rządu nad więźniami i jego troska o „ochronę osoby więźnia" i t. d.

Przed nami leży list z Górnego Zerentuja. W liście powyższym wyszczególnione są całe szeregi wypadków strzelania żołnierzy posterunkowych do okien więźniów politycznych bez żadnego absolutnie powodu z ich strony.

Oto co pisze o takiej strzelaninie zabójca Plehwego — Sazonow:

„Strzelali w początku listopada. Ramy były podwójne, szyby pokryte lodem. Ja nie dałem żadnego powodu, ponieważ nieruchomo siedziałem przy stole bardzo nisko, żeby cień mój nie padał na okno. Strzelali nie w nocy, kiedy — jak mówią — błądzą upiory, roznamiętnia się fantazya, lecz zaraz po skończeniu „powierki". Nadzorcy więzienni jeszcze nie zdążyli rozejść się. Wypadek ten posiada specyficzne cechy: zwykle strzelają raz — dwa i koniec. W tym zaś wypadku wystrzelono sześć razy i wszystkie kule nie w powietrze. Cztery strzały padły do mego okna; piąty przez „omyłkę" — do czego przyznał się żołnierz — do okna mego sąsiada. Później strzelano jeszcze, lecz nie pamiętam już, ile padło strzałów. Ślady jednego wystrzału pozostały na ścianie zewnętrznej; ślady te nie mogły pochodzić od kul, które wpadły od wewnątrz. Ilość i kierunek strzałów nadają temu wypadkowi charakter prawidłowej kanonady. I mimo to, kiedy Pokrowskij przybiegł do mojej celki, a ja zacząłem wyjaśniać mu to, co zaszło, on z początku zajął stanowisko obrony komendy...

Moja celka tego wieczoru wyglądała strasznie, jak po pogromie. Pełna kurzu wapiennego, który jak śnieg zasłał podłogę i wszystkie rzeczy, pobielił twarz; oddychać było ciężko. Na ścianie i suficie ziejące rany od kul. W oknach trzy dziury w szybach i czwarta w kącie ramy okiennej; kula wyrwała kawał drzewa. Dyablo zimno. Dziury pozatykałem czemkolwiek i tak spędziłem noc. Rano rozpoczęto remont celki. Dzikie jakieś uczucie opanowuje człowieka w chwilach podobnych. Kule świszczą nad głową, jedna, druga, trzecia. Chwile wydają się nieskończenie długiemi. I trudno zrozumieć, czy to złudzenie, czy też rzeczywistość. Zupełna niemoc. Obawiasz się przejść na inne miejsce, ponieważ nie wiesz, w którą stronę strzelają?!"

Wystarczy. Komentarze zbyteczne. W tym czasie naczelnik katorgi, Zabiełło, wydał rozporządzenie, by strzelano w „ostatecznym" razie. Miano też wzywać starszego.

„Ostateczność nadarza się prędko. 3 lutego 1910 r. strzelano do jednej z celek".

A kiedy 18 stycznia wszczęto alarm w nocy i rozpoczęto strzelaninę, dopiero następnego dnia dowiedzieli się polityczni, że przyczyną tego było samobójstwo jednego z żołnierzy, który zastrzelił się z karabinu.

Dnia 21 stycznia, gdy rozstawiono wartowników, dwaj polityczni wyraźnie słyszeli, jak „starszy" dawał rozkaz: „Strzelać można do wszystkich okien z wyjątkiem dużego: tam mieszka nadzorca". Mało tego. Do ostatnich dni strzelano do okien. Obecnie rozszerzono sferę działalności. Poczęto strzelać do spacerujących.

Dnia 21 kwietnia 1910 r., na spacerze zastrzelono marynarza-powstańca Worobiewa, gdy za węgłem pawilonu, schowawszy się przed deszczem, chciał zapalić papierosa. Po fakcie zjawił się naczelnik więzienia z naczelnikiem komendy Gresznerem i gdy pierwszy po zaznajomieniu się z okolicznościami zajścia wskazał Gresznerowi na bezprawność czynu ze strony żołnierza, Greszner odpowiedział głosem donośnym: „Żołnierz postąpił tak, jak postąpić był powinien. Inaczej żołnierzy uczyć nie będę".

Nawet wtedy, gdy Pokrowski, dyrektor więzienia, zrozumiawszy, że zagalopowano się, w jednym z raportów komunikuje o tem naczelnikowi katorgi Zabielle — nie powzięto żadnych środków zaradczych, a Pokrowski zostaje wkrótce dymisyonowany, jako „liberał"?! Miejsce po nim objął Wysockij, który na drugi dzień po przybyciu do Zerentuja oćwiczył dwóch politycznych.

Wysockij tym sposobem wykończył system rygoru więziennego, którego treścią rozstrzeliwanie i chłosta. Dalsze wypadki wiadome.

Protestując przeciwko znęcaniu się i upokarzaniu godności ludzkiej, polityczni górnego Zerentuja rozpoczęli głodówkę, żądając zniesienia kary cielesnej i innych obostrzeń. Sześciu z tej liczby postanowiło wyrazić protest w najostrzejszej formie, — aby czynami swymi zwrócić uwagę świata cywilizowanego na system panujący w więzieniach rosyjskich — aby pobudzić zgnębione reakcyą społeczeństwo do walki przeciw występkom oprawców carskich.

I oto poświęcając swe życie, Masłow, Odincow i Puchalski przecinają sobie tętnice, Michajłow, Kunaj i Sazonow mający rychło wyjść do „wolnych komend", trują się morfiną!...

Zarówno fakty rozstrzeliwania politycznych i chłosta w Zerentuju, jak i oćwiczenie 59 politycznych w Wołogdzie i cały szereg podobnych wypadków w innych więzieniach (Moskwa, Tobolsk, Orzeł i t. d., świadczą wymownie o penitencyarnym systemie w rosyjskich więzieniach.

Wobec podobnych okrucieństw zbrodnią jest milczeć! Cały świat cywilizowany powinien jak najenergiczniej napiętnować politykę zemsty rządu rosyjskiego.

Ten moralny policzek zwyrodniałemu rządowi carskiemu wymierzony być winien głośno i publicznie"!

Teraz dopiero po paru tygodniach zaczynają nadchodzić szczegóły „buntu" katorżników w więzieniu wołogodzkiem, którego rezultatem była masowa chłosta. Jak świeżo doniosła „Riecz" bunt powstał na tle niezadowolenia z postnej strawy i wyraził się w odmowie pracowania w warsztatach. Władze więzienne skazały na chłostę cielesną według jednej wersyi 161 więźniów, według drugiej 179, z których lekarz więzienny Bażenow uznał za niemożliwe karać tylko 15-u. Wsród tych ostatnich był 15-letni Altruszajtis, którego puls podczas badania lekarskiego pokazywał 132. Pomimo to poddano go chłoście, przyczem zamiast 10 uderzeń, otrzymał z powodu oporu 60. Dopiero po „ukaraniu" 59 więźniów administracya więzienna sama z własnej inicyatywy zaprzestała dalszej chłosty, chociaż miało być jeszcze ukaranych 100 osób...

UKAZ SENACKI. Po prasie polskiej i zagranicznej gruchnęła wieść zaprawdę zdumiewająca, iż senat uniwersytetu jagiellońskiego nosi się z zamiarem relegacyi dwustu, czy też stu kilkudziesięciu studentów za udział w akcyi przeciw *publicum* księdza Zimmermana. Słychać, że tego haniebnego wyroku domaga się reakcyjna większość z klerykałem Czerkawskim na czele, że rektor, znakomity fizyk, prof. August Witkowski, sprzeciwia się wszelkiemi siłami, że grozi złożeniem berła, gdyby mu przyszło ukaz taki podpisać. Nie dość zatem, że shańbiono uniwersytet powołaniem na katedrę śmiesznego pyszałka i nieuka, którego dziełem głównem jest równie pretensyonalny, jak bezdennie głupi traktat o „Mojej Pani" — opinia to nietylko „masonów", ale i „Przeglądu katolickiego" i wielu poważnych księży; nie dość, że sprowokowano młodzież, dozwalając autorowi „baby" na publiczne produkcye; nie dość, że demonstrantów wydano sądom państwowym; jeszcze obskurantyzm krakowski waży się przez relegacye masowe, nieznane poza granicami Rosyi, zaburzać życie i pracę naukową nie tylko na uniwersytecie krakowskim, lecz także na wszystkich uniwersytetach w państwie. Marna byłaby ta młodzież, któraby dopuściła do relegacyi wielu dziesiątek kolegów i nie zaprotestowała przeciw temu z całą energią i nie odwołała się do solidarności kolegów innych zakładów i innych narodowości! Opinia publiczna, dotąd rozdwojona wskutek niedość poważnego przebiegu „zimmermanomachii", teraz jednomyślnie staje po stronie młodzieży, przeciwko obskurantom krakowskim! Burza się zbiera nad krakowską wszechnicą; chwały *Almae Matri Jagellonicae* ona nie przysporzy; oby przynajmniej wniosła świeży powiew w zatęchłą atmosferę starych murów.

WYSTAWA PODHALAŃSKA. W sobotę pod przewodnictwem dra Aleksandra Lisiewicza odbyło się posie-

dzenie Komitetu wystawy sztuki podhalańskiej, która ma być otwarta w pierwszych dniach marca. *Clon* wystawy stanowić będzie wnętrze modelowej chaty góralskiej podług rysunku Witkiewicza. W następnych salach będzie przedstawiona cała twórczość artystyczna zarowno ludności podhalskiej jak i artystów, zamieszkałych w Zakopanem i czerpiących motywy z otoczenia, przyczem zostaną zgromadzone wszystkie obrazy Witkiewicza i cały materyał jego olbrzymiej pracy w celu rozwinięcia motywów góralskich w oryginalny styl budownictwa i zdobnictwa swojskiego. Meble p. Brzegi i szkoły przemysłowej, ceramika, k limiarstwo, wyroby z żelaza i drzewa znajdą szerokie uwzględnienie. Eksponaty przygotowuje miejscowy komitet w Zakopanem. Katalog ozdobiony winietą p. Rembowskiego ma nosić charakter informacyjny i nie będzie to tylko suchy spis okazów, ale popularny wykład o charakterze i rozwoju sztuki na Podhalu. Wstęp obiecał napisać Witkiewicz, do komitetu redakcyjnego powołano pp. Daniłowskiego, Lenkiewicza, Pawlikowskiego i Wysłoucha. Prezesami honorowymi zostali wybrani prof. dr. Ciszewski, red. B. Wysłouch; prezesami St. Reychan i dr. T. Rutowski, wicepr. Jan Kasprowicz i dr. Al. Lisiewicz: reszta wybranych weszła w skład komitetu wykonawczego.

(GD) ZAMIAST ODPRAWY. Panu Glassowi za jego wystąpienie przeciwko „Życiu“ z inwektywami, którym Avanti w głębi duszy nie może wierzyć, należałaby się niezwykle ostra odprawa. Ze względu jednak na to, iż mizerykordyi wymierzonej przeciwko jego „Glossom“ godzącym w drogie nam ideały i cenionych ludzi zakradł się istotnie niestosowny przytyk do pochodzenia autora, które w ludzkich stosunkach nie powinno odegrywać żadnej roli, puszczamy mu ten konwulsyjny odruch ślepej irytacyi płazem, w nadziei, że o ile powoduje się godnością, nie nizką ambicyą, potrafi to stanowisko nasze w tym przykrym zatargu należycie ocenić.



Do grona współpracowników „Życia“ należą:

Dr. Tobiasz Aschkenase, Stanisław Baczyński, Witołd Bunikiewicz, Maryan Dąbrowski, Gustaw Daniłowski, Ignacy Daszyński, Marya Dulębianka, Włodzimierz Dzwonkowski, Wilhelm Feldmann, Kazimierz Frech, Tadeusz Grużewski, Dr. Władysław Gumplowicz, Feliks Gwiżdż, Dr. Michał Janik, Dr. Witold Jodko, Juliusz Kaden, Dr. Maryan Kukiel, Ludwik Kulczycki, Bronisław Laskownicki, Jan Lemański, Dr. Edward Lewiński, Dr. Bolesław Limanowski, Dr. Aleksander Lisiewicz, Marya Markowska, Ignacy Matuszewski, dr. Henryk Mester, Władysław Milko, Dr. Józef Moskwa, Iza Moszczeńska, Andrzej Niemojewski, Władysław Orkan, Władysław Orwid, Stanisław Pytliński, Mieczysław Rettinger, Jadwiga Sarnecka, Savitri, Wacław Sieroszewski, Eugienjusz Skierski, Adam Skwarczyński, Artur Śliwiński, Hipolit Śliwiński, Edward Słoński, Dr. Michał Sokolnicki, Konstanty Srokowski, A. Strug, Marya Turzyma, Leon Wasilewski, Stefan Żeromski i bardzo wielu innych.

Każdy zeszyt bogato zdobiony. Winiety tytułowe Wyspiańskiego, Rembowskiego, Barwińskiego Ozdoby Bojomira, Jaworskiego, Minkiewicza, Ostena, Ulanowskiego i wielu innych.

Każdy prenumerator, przybywający z nowym rokiem, może otrzymać tytułem premii pierwszy komplet kwartalny tygodnika za zwrotem kosztów przesyłki.

„Życie“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec .	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru **40** hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.

Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.